

NAKLAD 120.000 egz. **Śpiesz się kupić!**

Odgłosy

RYBODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 1-3. IV.
1960 r.
Nr 13 (109)
Cena zł 1



Przed egzaminem dojratości



Już się zaczęło wiosenne grabienie

Jaki przerebic aparat radiowy na telewizor?

Dejmelek już w Warszawie

Nr. 13 „Odgłosów” już się nie ukarze!!

Łódzka wiosna

Nasz fotoreporter uchwycił na gorąco kilka scenek charakterystycznych dla Łodzi. Pośród tych czytelników, którzy najdowcipniej i najkrócej skomentują przynajmniej 3 dowolnie wybrane obrazki (forma odpowiedzi dowolna: fraszka, wiersz, żart, przy tym wypowiedź na temat jednej scenki nie może przekraczać 10 linijek maszynopisu) zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Termin nadsyłania — 7 kwietnia.

ROZKŁAD JAZDY POCIĄGU -WIDMO

ANDRZEJ MAZUR

„Latawiec jest wychować dziecko od razu dobrze niż naprawiać skutki złego wychowania”.

(A. Makarenko)

bierania drukowanego słowa — również nic nie rozumiesz? Czy to może po prostu reporter epatując się własną katastroficzną wizją, światła rozkłada bezradnie ręce?!

Dwie rzeczy w drukowanych w „Odgłosach” reportażach trzeba odróżnić wyraźnie: „Kawiarniana” egzemplifikacje od równie dowolnych jak efektownych uogólnień — zwłaszcza tych, które dotyczą młodzieży w jej masie.

1 Kompleks Sfinksa

I oto zgodnie z tradycjami zaczyna się generalna dyskusja o młodzieży. Normalnie odbywało się to w sezonie ogórkowym. Latoś, jak widać publicystów i reporterów sumienie przyparło pilnie.

I jak co roku — to samo. Zmieniają się tylko nazwy kawiarni, tu i ówdzie do szerszej wiadomości przecieknie trochę nagich cyfr o wzrastającej (nie tak przerażająco wzrastającej) przestępczości nieletnich. Konkluzja — ta publicystyczna — bez zmian: „Kwadratu kola”, „Zagadkowe plemię ludzi młodych” „Sfinks”.

„Co roku — pisze na zagajenie dyskusji w „Odgłosach” K. Badziak — wchodzi nowymi falami w społeczne morze, roztopiają się w nim i deformują. Nie wszyscy. Co roku dziesiątki, setki, tysiące, nowych roczników anonimowych w nieskończoność, nie legitymujących się niczym wchodzi w życie. Budzą niepokój pedagogów i ideologów. Każdy bierze ich pod lupę, obserwuje, ankietyzuje, szufladkuje, definiuje i nie rozumie. Sfinks”.

Kto — za przeproszeniem — nie rozumie? Czy Ty, życzliwa opinio publiczna, która wszak wystrzyłaś już swój zmysł krytycznego od-

Pierwsza ma walor po znawczy. Dotyczy faktów społecznych. Fakty te znane są wprawdzie od dawna tym, którzy „ankietują, szufladkują” itp. Nie szkodzi, a nawet dobrze, że przedostaną się do szerszej wiadomości. Wszelako uogólnienia, które usiłuje reporter sugestywnie wprowadzić w plastycznie oddawanych „obyczajowych scenek” pomijając ich funkcję społeczno-wychowawczą, tracą po prostu ignorancją.

Co na przykład upoważnia Janczura do takiego stwierdzenia:

„Wydaje mi się, że my za bardzo chcemy zrozumieć młodzież, poznać pobudki jej działania. A to jest szukanie pęczka rzodkiewek w bezkresnej pustyni. Wmawiamy im bezideowość

Dalszy ciąg na str. 6

Bezpieczeństwo w cieniu szubienic

Czyżby?

Drukujemy obok przykry list. Przykry i dla nas! w równej mierze dla każdego, kto go przeczyta i przemysli. Osobiście odczuwałem przy jego lekturze lekkie mrowie między łożenkami.

Snując na kanwie listu trochę rozważań nie będę wracał do konkretnej sprawy mordu opisanego w artykule „Na początku była flaszka wina”. Podejmę, w ślad za korespondentem sprawy, ogólniejsze.

Dwa są zawody, do których, zda się, my wszyscy i nasi bliźni czujemy, jak jeden mąż, szczególne powołanie: lekarza i sędziego. Jeśli jednak o drugi tylko człowiek usiłuje leczyć — nie wychodząc zresztą zazwyczaj w swych zaleceniach terapeutycznych poza aspirynę, ziółka, bańki i setki wody na grype — o tyle sędziem ludzi zajmujemy się wszyscy, i to z wielką pasją. Jesteśmy jednak szczególnymi sędziami w porównaniu z tymi zawodowymi — wystrójonymi w togi. Po pierwsze, łączymy w sobie funkcje sędziego i prokuratora, scalamy je i ułożamy, po drugie, nie tolerujemy istnienia ewentualnej ławy obrończej, a po trzecie, zasięg naszych poczynań sędziowskich wykracza daleko poza sprawy interesujące sądy instytucjonalne, kodeksy karne czy milicje. Podajemy osądem wszystko — tryb życia, poglądy, sposób ubierania się i spędzania czasu naszych znajomych, nieznajomych i sąsiadów.

Zresztą... Postawa nieustannego wartościowania wszystkiego i wszystkich jest nieodzownym atrybutem działania tzw. opinii publicznej, opinii moralnej. Jest nawet kamieniem węgielnym praktycznego funkcjonowania tzw. moralności społecznie panującej. Dopóki owo „sądzenie” polega na wyrabianiu sobie własnego poglądu — i już

— to świetnie. Dopóki oznacza lansowanie swoich poglądów — dobrze, mimo wszystkie wyjasnienia i antyhumanistyczne działania wykształcanego w ten sposób nacisku „opinii” na ludzi. Kiedy jednak dochodzi do wydawania konkretnych wyroków wtedy zdaje się postronnemu obserwatorowi, że gdyby znieść przymus państwowy i odpowiadający mu system prawny,

ogół ludzi wyczytawszy w gazecie czy zaszyszawszy o jakiejś sprawie karnej, jeśli tylko poszkodowanym czy ofiarą jest konkretny człowiek — a nie np. społeczeństwo w ogóle czy państwo — „wydaje” wyroki surowsze niż komplety sędziowskie. A już z całą pewnością uważa, że za zabicie człowieka należy się kara śmierci bez względu na okoliczności. Ciekawe, że tylko w tym wy-

nikami argumentami natury społecznej, prawnej, pedagogicznej i filozoficznej. Natomiast absolutna większość ludzi chyba wszędzie, a w Polsce już na pewno jest za poważnym rozszerzeniem zakresu stosowania kary śmierci.

Trudno mi tu rzeczowo polemizować z panem Szymańskim. Jego postulaty nie są zresztą konkretnie sformułowane. Wyraża one pewne ogólne tendencje. Na

mości i chęci. Gatunek jest pod ochroną. Według teoretycznych zasad tej umowy człowiek równa się człowiekowi. Odpowiadanie na zabicie człowieka zabiciem drugiego człowieka tylko wtedy ma sens, kiedy zabójca reprezentuje sobą potencjalną groźbę, iż jeśli będzie żył — usmiercić może jeszcze innych ludzi.

Wydaje się, że praktyka polskiego sądownictwa ściśle przestrzega tego punktu widzenia, chociaż nikt owych zasad w ten sposób bodaj nie formuluje. Otóż nasze sądy praktycznie wymierzają karę śmierci tylko w przypadkach zabójstw i tylko jeśli temu zabójstwu towarzyszą na-

by zabijać w przyszłości Malinowskiego, Nowaka, Wiśniewskiego itd.

Karanie za zabicie człowieka jest wynikiem pewnego aksjomatu przyjętego przez wszystkie młode społeczeństwa cywilizowane i uchylanego tylko w nadzwyczajnych okolicznościach np. wojennych. Jest to aksjomat mówiący o „świętości” życia ludzkiego. W imię tego aksjomatu wysła się u nas od czasu do czasu morderców na szubienicę.

Chcę tu zwrócić uwagę pana Szymańskiego na pewien moment: mianowicie realizacja jego postulatu, to znaczy umosowanie kary śmierci — prowadzi do teoretycznych i praktycznych wyników sprzecznych z aksjomatem założonym na wstępie, w imię którego karę śmierci się stosuje. Karanie śmiercią w istocie klęci się z kanonem mówiącym o świętości życia ludzkiego. Zachodzi tu sprzeczność sama w sobie.

O karze śmierci wiele już napisano. Nie jestem w stanie streszczać tych poglądów. Podam tylko dla przykładu, iż grona francuskich intelektualistów uważa, że kara śmierci nie stanowi groźby praktycznej odstraszającej od zabijania człowieka, gdyż przestępca, zgodnie z mechanizmem psychologicznym w ogóle właściwym ludziom np. beznadziejnie chorem — wbrew wszelkiej logice nie wierzy w swoją własną śmierć. Nie wierzy w wyrok śmierci. Nie wierzy, że spotka go szubienica, nawet wtedy, kiedy już sąd ogłosił taki wyrok, tym bardziej więc nie wierzy w strzyk w momencie popelniania przestępstwa. Ale to już inna sprawa.

W każdym razie dziwny jest mechanizm myślowy naszego korespondenta, p. Szymańskiego, zakładający, iż struganie szubienicę potęguje jego osobiste poczucie bezpieczeństwa.

BELFER

PS. Nie podjąłem tu tematyki w liście p. Szymańskiego najważniejszej — dotyczącej przestępczości wśród młodzieży. Po prostu nie zmieściłem. Proszę więc o trochę cierpliwości. Powrócę do pozostałego problematyki wydrusowanego powyżej listu w związku z toczącą się na naszych łamach dyskusją.

Jestem stałym czytelnikiem Waszego pisma i już kilkakrotnie próbowałem napisać do Was, ale jakoś mi nie szło. Po przeczytaniu artykułu pt. „Na początku była flaszka wina” („Odgłosy” nr 7) pokonałem „pióroustret”. Rozmawiałem na temat tej publikacji z ludźmi starszymi i młodymi jak ja. Ze słów ich wypływało zawsze obrzydliwe oburzenie na zbyt łagodny wymiar kary dla młodocianych przestępców. Młodzież, która nie przejawia chęci do poprawienia się, pełna zarozumiałej zawziętości powinna być tępiona, aby to zło nie zarażało innych. Drzewo, które psuje się, a mimo starań i zabiegów nie da się wyleczyć — scinamy, by nie szpeciło swoim wyglądem.

Rozumiem, że to jest zbyt wróciłbyśmy co najmniej do średniowiecza.

Wydaje się, że moi współobywatele co drugiego przestępcę wysyłaliby na szafot, pomniejszymi złodziejom ucinali ręce, chuligańskim pętałom wykuliwali oczy i dalej... nosicielkom czerwonych pończoch np. goliliby głowy, nie biorącym ślubu wypalali jakiegoś płętno na skórze zgodnie z purytańskimi obyczajami minionych wieków itd. A potem, oczywiście, owi sędziowie z koleji poddawani byłiby tym zabiegom, o ile w ogóle zdążyliby dożyć wieku dojrzałego.

Wracając do listu. Jest rzeczą charakterystyczną, że

śmiało porównanie ale w tym wypadku konieczne.

Gdyby młodzież wiedziała, że spotyka ją szklana kara — a nie dom poprawy, czy, z którego wyjdą po osiągnięciu pełnoletności, to może powstrzymałoby in-

„TĘPIĆ PRZESTĘPCÓW — KARAC ŚMIERCIA”

nych przed chuligaństwem, lub przestępstwem. Mając 17 lat nie jest się 10-letnim dzieckiem i powinno się odpowiadać z tego samego paragrafu co dorośli. Za morderstwo — śmierć. Strach przed zaszużoną karą powstrzymałby innych i

stłumił zbrodniczy instynkt w złych charakterach.

Sądzę, że wielu ludzi zgadza się z mną, że samo słowo „młodociany” staje się automatycznie okolicznością łagodzącą. Przebieg opisanego morderstwa był

tak straszny, po prostu nie do wiary, że popełnił to dziecko i w dodatku młodzi. Taka dziewczyna i jej dwaj koleżdy, to ludzie bez serca, zepsuci do szpiku kości. Z nich nigdy już nie dobrego nie będzie, dlatego powinni zginąć jak

wściekle psy, by nie ukąsili innych. Bestialski mord dokonany raz na ich własnym kolede, innym razem powtórzyć się może na człowieku wartościowym. Podeszli oni do tego morderstwa z zimną krwią, być może przypuszczali, że im nic nie będzie. Powinno się udowodnić im i wszystkim innym, że za takie morderstwo każdego czeka śmierć bez względu czy to dorosły czy młodociany. Domagamy się surowych kar za każde zabójstwo z rozmysłem, napad, rabunek oraz wszelkie wykryte chuligańskie. Wtedy można by spokojnie wracać do domu bez obawy postradania życia czy swego mienia. Wszelkie zło można naprawić tylko przez wysokie kary, których obawia się każdy przestępca.

JANUSZ SZYMAŃSKI

lat. I ten człowiek 23 marca wyleciał z Moskwy na pokładzie samolotu „Il-18-b” o godzinie piątej nad ranem, po kilku godzinach wylądował na paryskim lotnisku Orly, gdzie wygłosił przemówienie, następnie odbył wstępne rozmowy z prezydentem Francji de Gaulle'm, zwiędził Paryż, odbył jeszcze dwa ważne spotkania, wygłosił dwa przemówienia i zakończył swój dzień pracy o godzinie pierwszej w nocy dnia następnego. Wszystko to w atmosferze zrozumiałego napięcia i podniecenia.

Właśnie strona radziecka skłaniała Francuzów do takiego uzgodnienia programu wizyty by w ciągu dnia zastawiała tylko godzina na odpoczynek Premier Chruszczow pragnie bowiem jak najwięcej zwiedzić, spotkać się z jak

spokojnie znieść te ciągłe pytania i tę masę ludzi wokół siebie — ludzi ciszących się, atakujących, napierających i częstokroć tak agresywnych. Chruszczow jest teraz nawet bardziej dynamiczny i bardziej niezmiorny niż kiedykolwiek. Wydaje się, że właśnie ta dynamika radzieckiego premiera obok zdumiewającego realizmu politycznego są najbardziej rzucającymi się w oczy cechami jego osobowości.

Czyż można się dziwić, że premier Chruszczow, kładzie w swych francuskich przemówieniach nacisk przede wszystkim na niebezpieczeństwo militarysty niemieckiego? Jest to bowiem najbardziej realne niebezpieczeństwo dla pokoju w Europie. Nie może się to podobać tym kołom we Francji, które prze-

„Mondo” o go najbardziej uderza w osobie generała de Gaulle'a oświadczył: „Podoba mi się jego niezłomna wola służenia Francji, jego patriotyzm, imponuje mi to, ponieważ ja także żyję tym, że całą swą działalnością służę swojemu krajowi i pragnę być wiernym patriotą. Imponuje mi jego umiejtność wytrwałego przejawiania woli w realizowaniu narodowej polityki francuskiej.

Niewątpliwie jednak prezydent de Gaulle jest w znacznej mierze mistykiem. Zapartyczny jest w wiele mitów, w wielkość Francji, w to, że decydujące znaczenie w tym świecie odgrywa wielkość narodu i wielkość jego przywódców. Przypomina on nie raz człowieka, który zapartyczny w daleką przyszłość, w odległe horyzonty, nie dostrzega tego, co dzieje się u jego stóp. Prezydent de Gaulle stoi na stanowisku, że sojusz francusko-niemiecki posiada podstawowe znaczenie dla przyszłości Europy. Ale praktyk musi od razu zadać sobie pytanie: sojusz, ale z jakimi Niemcami? Z Niemcami Straussa, Oberlaendera czy Schroedera. Tych co wymieniam, prezydent de Gaulle na pewno nie lubi, ale dzięki osi Paryż-Bonn umacniają ich pozycje w Niemczech Zachodnich. Zapartyczny w przyszłość nie dostrzega niebezpieczeństwa dnia dzisiejszego.

Albo francuska bomba atomowa. Przeprowadzono z nią próby na Saharze. Odbędzie się dalsze próby. Prezydent Francji wpatrzony w przyszłość Francji jako mocarstwa atomowego równego Związkowi Radzieckiemu, Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii stara się nie dostrzec realiów, n. p. tego, że Francji nie starczy środków, aby wytrzymać tempo tego wysiłku. De Gaulle oświadcza pod adresem atomowych mocarstw: dobrze wam jest przewyżać Francję do nieprzewodzenia doświadczeń z bronią termojądrową, dlatego, że wy posiadacie już tysiące takich bomb. Jak dojdzie do powszechnego, rozbrojenia atomowego, to Francja nie będzie przeprowadzała prób i się do niego przyłączy. Na pozór prezydent de Gaulle ma rację, ale tylko na pozór. Trwają w tej chwili w Genewie rozmowy przedstawicieli mocarstw atomowych w sprawie wstrzymania doświadczeń z tą bronią. Ma to być pierwszy krok na drodze do atomowego rozbrojenia. Posunięcia Francji przeszkadzają w realizacji tego pierwszego kroku. Stwarzają niebezpieczny precedens na przyszłość. Stanowią więc poważną przeszkodę na drodze do powszechnego rozbrojenia atomowego. Te dwa przykłady są chyba w pewnej mierze charakterystyczne dla polityki de Gaulle'a.

Niemniej stwierdzić można z całą odpowiedzialnością, że prezydent de Gaulle wniosł do polityki francuskiej cały szereg pozytywnych elementów. Francuska polityka, która przez czterdzieści powojennych lat była tylko dodatkiem

do polityki amerykańskiej, stanowi w wydaniu generała de Gaulle'a nowy czynnik w świecie oparty o jego zrozumienie francuskiej racji stanu. Głównym przeciwnikiem de Gaulle'a w realizacji tej polityki są Stany Zjednoczone i przeciwko nim toczył on w ciągu dwu minionych lat główną batalię o miejsce Francji w Pakoie Atlantycznym, w Europie i w świecie. Wycofanie przez Francję swojej floty śródziemnomorskiej spod dowództwa NATO, zmuszenie do odlotu amerykańskich bombowców atomowych, które dotąd stacjonowały na ziemi francuskiej to nie posunięcia jedynie taktyczne. To rozrywka o miejsce Francji w Europie, o to, czy będzie ona samodzielnym partnerem w polityce międzynarodowej czy tylko cząstką atlantyckiej polityki.

Ograniczyłem się celowo do niektórych aspektów spotkania Chruszczow-de Gaulle, o którym szerzej będzie można napisać w przyszłym tygodniu, po skończonych rozmowach. Na dziś pragnę zakończyć cytatem z paryskiej „Combat”, która stwierdza w artykule redakcyjnym:

„Chruszczow nie przybywa do Francji głównie po to, aby stworzyć nową koncepcję sojuszu francusko-rosyjskiego ani też po to, by użyć odsieczki francuskim zwolnikom Thoreza i Ducloua. Rozmowy w Rambouillet mają na celu tylko przygotowanie konferencji na najwyższym szczeblu — a więc w zasadzie ocalenie pokoju, do którego ludność francuska tak jak ludność republik radzieckich jest gorąco przywiązana”.



JACEK LEBEN

DYNAMIKA I REALIZM

Kiedy premier Chruszczow przybył do Bordeaux witający go markiz de Lar-Saluces właściciel sławnych winnic i piwnic „Chateau-Yquem” wręczył mu butelkę wina „Medoc” z roku 1894. Wino to ma dokładnie tyle lat, ile liczy sobie premier Chruszczow.

Premier Chruszczow ma 66

największą ilość ludzi. Współpracownik dziennika „Paris-Jour”, Gallus w następujących słowach opisuje swe paryskie spotkanie z Nikitą Chruszczowem:

„Patrzac na premiera Chruszczowa przekonany jestem, że cieszy się on równie dobrym zdrowiem jak sześć miesięcy temu, kiedy widziałem go zasypywanego pyłkami 300 dziennikarzy w National Press Club w Waszyngtonie. Nie jest też absolutnie zmęczony. Doprawdy trzeba mieć cierpliwość i zimną krew człowieka głęboko przejętego swą ideologią, aby móc

świadczono są o konieczności podtrzymania flirtu francusko-niemieckiego. Słowa te nie mogą być mile również prezydentowi Francji, generalowi de Gaulle'owi.

Prezydent de Gaulle jest niewątpliwie trudnym partnerem do rozmów. Trudniej- szym chyba niż prezydent Eisenhower, Prezydent Eisenhower jest bowiem realista, człowiekiem o ujmującym sposobie bycia, w miarę szczerym i otwartym. Prezydent de Gaulle jest niewątpliwie wybitną osobistością. Premier Chruszczow zapytany przez korespondenta „Le



stkich krajach zachodniej Europy. Największe jednak nasilenie transakcji występuje w Grecji i we Włoszech. Cyfr oficjalnych nikt zresztą nie zna, nie prowadzi się tam bowiem tego rodzaju statystyk i nie ma odpowiedniej kontroli.

Ale jak przeszkodzić nędzarzom z zabitej deski, przeludnionej wsi, rodzinom obarczonym nadmierną ilością gęb do żywienia, by nie pozbywały się jedenastego czy dwunastego z rzędu darmozjada? Zacofani i prymitywni, płodni jak króliki nie mogą nawet zrozumieć, że są na świecie małżeństwa, które

że nie żywi idealnych wyrotowanych. Przybrani rodzice, którzy podpiszą taką deklarację, będą pociągnięci do odpowiedzialności karnej, jeśli z dziecka wyrośnie rewolucjonista.

Mało więc szans mają dzieci cudzoziemskie na ów raj na ziemi. A jednak przybywa ich do Stanów ponad dwadzieścia tysięcy rocznie. Niektóre, kupione przez rodziców pozbawione prawa legalnej adopcji, przechodzą z czasem w inne ręce, a czasem, po dłuższej tułaczce lądują... w Opiece Społecznej.

W USA popyt na dzieci przewyższa wielokrotnie po-

szanowny obywatel" nawiązuje kontakty zagraniczne.

Przed kilku miesiącami sensacją w Nowym Jorku wzbudziło aresztowanie czeł godnego sędziego trybunału, Johna Arystotelesa Scopasa. Okazało się, że z operacji na haniebnym czarnym rynku zgarnął w krótkim czasie grube miliony.

Siedztwo, przeprowadzone przy współpracy ministerstwa sprawiedliwości w Atenach, wykazało, że Scopas, nie był jedynym Amerykaninem greckiego pochodzenia wmieszanym w podobne ciemne machinacje.

Parasol się nimi cała grupa jego ziomków — adwokatów, którzy pozostawali w ścisłym kontakcie ze swymi kolegami po fachu w kraju ojczystym. Działając najczęściej jako pełnomocnicy różnych instytucji „dobroczyńnych” wyeksportowali do Ameryki tysiące dzieci z Grecji oraz innych krajów południowoeuropejskich.

Według danych Interpolu centrale handlu dziećmi niszczą się w Atenach, Rzymie, Paryżu, Londynie i Dublinie. Istnieje również specjalny punkt tranzytowy we Frankfurcie nad Menem.

Amerykańskie dowództwo wojskowe w Niemczech Zachodnich zaalarmowane zostało informacją wywiadu że wielu żołnierzy wracających po służbie do domu szmugluje do Ameryki dzieci. Nie zawsze robią to z chęci zysku. Nałwanych nie sieją, a handlarze umieją komponować wzruszające historyjki, które usprawiedliwiają konieczność działania w ukryciu.

Jak już wspominaliśmy w tym monstualnym handlu popyt góruje nad podażą. W sensie moralnym jest to fakt pozytywny. Równocześnie jednak jest to poważny bodziec ekonomiczny dla ludzi bez skrupułów. Oznacza on, że dopóki młode matki dadzą się wyzyskiwać oszustom, dopóki istnieć będą rodziny nędzarzy oraz pary pragnące za wszelką cenę posiadać telewizor trwać będzie handel dziećmi.

Problem do tego stopnia się zaognił, że musiała się nim zająć Organizacja Narodów Zjednoczonych. Przewiduje się ogólną modyfikację ustawodawstwa w dziedzinie adopcji nieletnich oraz wzmocnienie kontroli przez urzędy opieki społecznej. Nim jednak to nastąpi policja całego świata musi wydać walkę handlarzom dzieci z tą samą energią, z jaką zwalcza się handel narkotykami i żywym towarem.

OPRACOWAŁ K. J.

„Czarny rynek” na dzieci

aż: na każde bezdomne niemowlę kandyduje około tuzina rodzin. Większość z nich gotowa jest zapłacić wysokie sumy. Dlatego kwitnie handel i rosną ceny. Dzisiaj płaci się za dziecko od czterech do ośmiu tysięcy dolarów. Przed rokiem jeszcze można je było kupić o połowę taniej.

Być może ceny będą rosły nadal, w miarę jak policja osaczać będzie handlarzy. Walka narzuca złoczyńcom ryzyko, zapłacić za nie muszą klienci. Ostatni wzrost cen również tłumaczy się faktem, że niedawno udało się policji przytrzymać szajkę aferzystów.

Jak widać handel dziećmi przynosi pokaźne zyski. Niektórzy sądzą, że jest bardziej intratny niż handel narkotykami. Istotnie większość „pośredników” zbija majątki.

Proceder jest zawsze taki sam. Majętny i powszechnie poważany obywatel, który dorobił się na plantacjach tytoniu, handlu winem czy turystyce, a więc w zasadzie nie podlega podejrzeniu, kieruje siecią agentów, wyszukujących po kraju. Drobne rybki pakuja z rodzinami, a „wiele

— Zdrowego, półrocznego chłopca oddamy na własność w zamian za pokój z kuchnią. Szczegółowe informacje w kiosku...

Ogłoszenia tej treści nie zamieszciliby oczywiście żadna z gazet. Można je było niedawno przeczytać między anonsami „sprzedam” i „do wynajęcia”, starannie wykaligrafowane na kartce przyszpilonej do słupa w jednym z małych miasteczek angielskich.

Styl inseratu, beznamiętny, oschły i lakoniczny, rzuca dziwne światło — bądźmy lojalni — nie tylko na obyczajowość specyficznie wyspiarską. Nie lepiej jest gdzie indziej.

— Oferuję dziesięcioletnią dziewczynkę, bardzo żywą, sześć zębów, kasztanowate kędziorki. Fotografia w załączeniu.

Tak pisze jedna z matek francuskich do rodziny pragnącej zaadoptować dziecko. Znowu ten sam suchy styl, brakuje tylko sprecyzowania jednego punktu — ceny. Tę omawia się tylko ustnie i w cztery oczy. Trzeba unikać pozorów handlu, bo wówczas ingerowałoby prawo.

Dlaczego tak się dzieje? — Jesteśmy zmuszeni — tak, z absolutną powagą, odpowiedziała dziennikarzom pewna para małżeńska — jesteśmy zmuszeni choć bardzo nam przykro, oddać syna w obce ręce, ponieważ nie stać nas równocześnie na zaspokojenie jego potrzeb i na zakup telewizora.

Oto symptom naszych czasów, nowa choroba społeczna atakująca rodziny, które większą wagę przywiązują do wygod bytowych niż do losu własnych dzieci. Nieszczęsna łatwość naby-

wania na kredyt przedmiotów, do niedawna uważanych za luksus, spowodowała patologiczne wprost pragnienie posiadania. Są ludzie którzy łatwiej pozbędą się dziecka niż pralki elektrycznej.

Bywają, oczywiście, sytuacje szczególne. Obawiając się tak zwanej opinii, nie widząc możliwości wychowania dziecka bez ojca, młode niedoświadczone kobiety chętnie ulegają namowom odstąpienia niemowlęcia w „dobre ręce”. Niekiedy nawet otlacają pośredników — uszurne sąsiadki, pokątne położne, a czasem również ludzie zupełnie nieznanymi — którzy podejmują się uwolnić je od kłopotu wyszukania dla dziecka godnego zaufania opiekuna.

Usługi owych pośredników rzadko wypływają z pobudek czystej życzliwości. Zazwyczaj są to zawodowi handlarze, którzy po ustalonych cenach odprzedają dziecko upatrzonym przybrany rodzicom. Zdarza się że dziecko szybko i szczęśliwie trafia do ludzi, którzy potrafią mu stworzyć atmosferę domu rodzinnego. Bywa jednak i tak, że „towar” nie znajduje właściwego „odbiorcy”, wędruje z ręk do ręk, lub przez dłuższy czas pozostaje na łasce handlarzy, nieraz autentycznych żebraków. Łatwo sobie wyobrazić, jaki jest wówczas jego los.

W roku ubiegłym, w samej tylko Anglii trzynaście tysięcy dzieci adoptowano legalnie, trzy tysiące czterysta porzucono, a około trzech tysięcy po prostu sprzedano. Nazywa się to „czarnym rynkiem na dzieci”.

Handel taki kwitnie i z roku na rok wzrasta we wszy-

pragną zaadoptować dziecko. Nie wierzą własnemu szczęściu, gdy ktoś za niepożądany przychówek zaofertuje im marne grosze.

Robimy co możemy — oświadczają władze greckie. — **Ale pokusa dolara jest nieodparta.**

Bo zwykle płaci się owe marne grosze w dolarach. Dzieci greckie wędrują przez ważnie do Ameryki.

Dla bardziej czułych rodziców stanowi to nawet rodzaj swoistej pociechy. Przecież za Atlantykami znajduje się raj ziemski.

— **Nie będziecie żalowali** — obiecują pośrednicy — **wasze dziecko przysparze rodzinie milionerów.**

W rzeczywistości jest trochę inaczej. W Stanach Zjednoczonych adoptuje się co roku około dziewięćdziesięciu tysięcy dzieci. Czuwają nad tym specjalne biura opieki, które — zgodnie z prawem — przeprowadzają rygorystyczną kontrolę rodzin zgłaszających chęć przysposobienia dziecka. Jeśli wywiadowca takiego biura zgłosi zastrzeżenie, co do moralności czy zdrowia petentów, odmawia się im bezapelacyjnie.

Rygory te zastrzeżono na skutek nadużyć. Znane są dzieje Marilyn Monroe, która jako sierota przechodziła z domu do domu. Poznała tak dziesiątki rodzin zainteresowanych jedynie kwotą wypłacaną przez rząd na utrzymanie dziecka.

Absurdalne niemal przeszkody musi przezwyciężyć osoba pragnąca legalnie przysposobić niemowlę obcego pochodzenia. W sensie prawnym jest ono cudzoziemcem i traktuje się je jak dorosłego imigranta; chowiane jest więc złoży deklarację — i to na piśmie —



Ludzie i technika szpiegostwa

Tylko jeden zachował...

Na ośm więcy szpiedzy nie zachowują zdobytego na wywiadzie majątku. Albo stają przed sądem czy później przed plutonem egzekucyjnym, kończą życie w więzieniu, albo wręcz zapominają, biedni, umierają w zapomnieniu. Jest tylko jeden wyjątek. Właśnie ów Charles czy Karl Schulmeister, alzacki kupiec tytoniowy. Wtajemniczeni twierdzą, że posiadał zabezpieczony majątek rzędu 12 milionów franków w złocie, zarobiony na pracy wywiadowczej. Nie stracił go, choć do ostatnich dni swego cesarza był jego osobistym agentem do wielkich porużeń. Czasem stawał w szranki bitwy, bo

był też rzadkim wyjątkiem wśród szpiegów, których zawód nie popycha do brawury w walce wręcz. Raz tylko odmówił Napoleonowi wykonania zadania. Było to w 1814 roku, gdy dla wytrawnego fachowca od szpiegostwa wojskowego było już jasne, że nie cesarstwa francuskiego nie uratuje. Na tyłu wroga dla przeprowadzenia nowej, wielkiej prowokacji szpiegowskiej nie pojechał, chociaż później utrzymywał bliski kontakt z wygnanym na Elbę cesarzem i podobno ułatwił mu ucieczkę. Po słynnych „stu dniach” zakończonych klęską pod Waterloo już do wywiadu się nie mieszał, opływając w dostatkach i kupionych zaszczytach.

Każdy jednak człowiek, cieszący się nawet największym powodzeniem, ma pew-

na zdrę. Dla Schulmeistera niespełnionym marzeniem było otrzymanie od cesarza Legii Honorowej, odpowiednika naszego „Virtuti Militari”. Podobno, gdy genialny wywiadowca napomknął cesarzowi — otrzymał odpowiedź: „Proś o wszystko, majątek, złoto, lecz nie o Legię Honorową...”

Od tego czasu wiele się zmieniło, także w tej sprawie. Więcy wywiadowcy, pracujący na rzecz swej ojczyzny otrzymywali często najwyższe odznaczenia, tyle — że niewielu o tym wiedziało. Prowadzenie wywiadu bowiem przeciw nieprzyjacielskiemu państwu nieraz dostępowo miało bohaterstwa lecz znane powszechnie nie stawało się za życia samego bohatera.

*) „Odgłosy” nr 12

Parę historycznych anegdot

ORYGINALNY LIST

Pisaliśmy już o tym, że w czasie wojen greckich przeciw Persom działali silnie wywiad, zresztą obustronny. Gdy na przykład jeden z władców miast greckich w Azji Mniejszej (dzisiejszej Syrii) postanowił wywołać powstanie przeciw królowi perskiemu, chciał się w tej sprawie porozumieć ze swoimi rodakami z półwyspu jensejskiego. Forma listownego przekazywania wiadomości wydawała mu się mało bezpieczna. Wybrał więc daleko osobliwszą. Kazał mianowicie ogolić głowę swemu niewolnikowi i na skórze wypisać (albo wytatuować?) tekst listu. Gdy na tym dość osobliwym „papierze listowym” porosły już włosy, wysłał niewolnika do adresata, którym był Atenczyk Aristagoras. Ten, po ponownym zgoleniu głowy posłańca, list odczytał.

BIEDNY SZEWC HISZPAŃSKI

Napoleon dysponował znakomitym aparatem szpiegowskim. Jednak i jego armię wyprowadzono, nieraz w pole. Oto przykład:

Było to w 1807 roku. Armia cesarza wdarła się do Hiszpanii, sforsując brutalnie, gwałtownie i krwawe metody w stosunku do broniących swej wolności Hiszpanów. Wojna ta zresztą wybuchła dla zadania pośredniego ciósu Anglii. Otóż hiszpańskie rolnictwo było głównym dostawcą wełny dla angielskich przędzalni; król hiszpański zaś odmawiał przerwania handlu z Anglią i wywołał wełny, ponieważ oznaczałoby to ruinę całej gospodarki. Tak doszło do zbrojnego konfliktu.

Droga wojsk napoleońskich wiodła w Pirenejach przez małe miasteczko Saint Sebastian, położone niedaleko od wybrzeża. Przed lichą chatką siedział szewc, z

wyglądu biedaczyna, i pracowicie reperował buty. Od czasu do czasu spoglądał na maszerujące oddziały francuskiej piechoty, kawalerii i baterie artyleryjskie. Nikt nie zwracał uwagi na robione przez niego na zelówkach znaki.

Wieczorem zaś, gdy ruch na drodze słabł i francuscy najedźcy rozbijali biwaki, biedny szewc brał dopiero co podzelowane buty pod pachę i szedł na wybrzeże. Spotykał się tam z oficerem angielskiej floty, który odbierał „robotę” bez jednego słowa wyjaśnienia.

W ten, tak prosty sposób wcielony w postać ubożego szewca dumny, hiszpański generał doniósł z pełną dokładnością, jaką ilością wojska dysponują Francuzi w Hiszpanii.

FORTEŁ MAHOMETA

Jak wiadomo — Mahomet, twórca islamu, rozpoczynał swe dzieło szerzenia nowej wiary od działań wojskowych. Nie dysponował siłami nadzwyczajnymi, więc z reguły wspierał się na wywiadowcach, którzy dostarczali mu informacji o zwalczających oddziałach Mahometa ówczesnych szefach. Tak na przykład w bitwie pod Badz w 624 roku pokonał wojska Meldki, lecz opuściwszy miasto przezornie zostawił licznych swoich konfidentów w samym mieście — sam zaś obozował w pobliżu.

Dowiedziawszy się w porę o szykującym się przeciw niemu powstaniu około 10.000 beduinów, pośpiesznie wycofał się do Medyny, którą ku zdumieniu swoich wrogów otoczył murem i fosą. Napastnicy byli co prawda oburzeni ta „niecna forma obrony”, wówczas jeszcze rzadko spotykana — lecz w bezwzględnej pustyni nie mogli długo prowadzić oblężenia — i prorok islamu został zwycięzca.

JAPONCZYCY WIEDZIELI LEPIEJ...

W czasie wojny rosyjko-japońskiej armia carska jak wiadomo, była dowodzona niezwykle słamazarnie. Także wywiad i kontrwywiad rosyjski nie stał na wysokości zadania. Japończycy ubiegali każdy ruch floty i armii carskiej i jak wiadomo, rozgromili flotę rosyjską w słynnej bitwie morskiej pod Cuszim. Długie zaś walki o zdobycie Port-Artura zakończyły się także ich sukcesem. Charakterystyczne przy tym, że wywiad japoński z ogromną pedanterią śledził także wszelkie nominacje oficerów dokonywane w tym czasie w armii rosyjskiej. Stan kadry oficerskiej w obieganej morskiej twierdzy prowadził wywiadowcy Mikada na bieżąco. Mieli dokładne spisy wszystkich dowódców i posiadanych przez nich stopni. Gdy po zdobyciu Port-Artura zgłaszali się jechy do niewoli — jeden z nich podpisał się nazwiskiem „pułkownik Irmanow”. Nadzorujący rejestrację jeńców oficer japoński zajrzał do kartoteki i sprostował:

— Pan nie jest już pułkownikiem, a general-majorem. W jednym z ostatnich rozkazów podpisano pańską nominację, która nie zdążyła dotrzeć do Port-Artura. Proszę sprostować swój stopień...

Jest to chyba jedyny w swoim rodzaju wypadek, że jeńiec-oficer dowiedział się od wroga o uzyskaniu awansu.



Barbara Połomska — Katarina i Mirosław Szonert — Homodei

Fot. G. Puciato

KRYSTYNA WOJTASIK

ANGELO-TYRAN PADWY

Dlaczego nie „Hernani”, „Marion Delorme”, „Król się bawi” czy „Ruy Blas”? Dlaczego właśnie „Angelo tyran Padwy”? Pytanie to w tej chwili należące już do kategorii retorycznych, jako że zadane Teatrowi Powszechnemu post factum, pozostaje jednak dość zasadniczym, a to z dwóch powodów: po pierwsze ze względu na publiczność, która zaznajamia się z nie granym w Łodzi od lat autorem poprzez jeden z najsłabszych jego utworów scenicznych, a po drugie — również ze względu na publiczność, której smak teatr ostatecznie kształtuje. A „Angelo” do brego smaku pozbawiony jest niemal zupełnie, czym w pewnej mierze wyraża bunt teatru romantycznego przeciw sztywnym kanonom i chłodnej elegancji teatru klasyków, ale co dzisiejszy widz odczuwa całkowicie jednoznacznie.

Spłęzienie melodramatycznych sytuacji i takichże efektów, chwilami żenująca naiwnych i wprost irytują-

cych, przesłania istniejące w sztuce akcenty walki o wolność i sprawiedliwość społeczną, walki tak właściwej całej twórczości Victora Hugo. W „Angelu” podjął autor „Nędzników”, zgodnie zresztą z tendencją teatru romantycznego, rehabilitację kurtyzany, obronę jej człowieczeństwa, ukazując jednocześnie poprzez tę postać zło tkwiące w stosunkach społecznych. Uczynił nawet z tego dziecka ludu główną bohaterkę dramatu. W o wym roku 1835, kiedy narodził się „Angelo tyran Padwy”, było to jeszcze wciąż posunięcie szokujące, budzące sprzeciw i polemikę. Dziś tak już nie jest. Pozostała jednak rola, świetna rola Tyzbe. Jak poradziła sobie z nią Maria Kozierska? Otóż wydaje mi się, że za brakło nieco aktorce tak nie zbędnego tutaj szerokiego romantycznego oddechu i głębszych, bardziej finezyjnych odcieni pełnej kobiecości. Maria Kozierska nie wygrała do końca namiętnej pasji do szaleństwa zako-

chanej kobiety, siły nienawiści plebejki posiadającej pełną świadomość swej społecznej krzywdy i poniżenia, ani wyrafinowania kochanki tyrana.

Znacznie biedszą kobiecą postacią sztuki, posiadającą jednak pewien swoisty urok, jest cierpieniczka Katarina żona Angela.

Barbara Połomska, jako Katarina miała kilka szczerze wzruszających momentów, co u aktorki obsadzanej dotychczas wyłącznie w komediach, (czasem nadto blahych) jest na pewno war te zauważenia. Przy tym Połomska umiała w przypadających jej (chwilami niewdzięcznych) sytuacjach poruszać się z wdziękiem, godnością i dystynkcją, ładnie wyglądać. Pomogły tutaj jej dobrym „warunkom zewnętrznym” twarzowe i trafnie dobrane kostiumy Ewy Sobolowej.

Pośród męskiego grona wykonawców należy wymienić przede wszystkim Mirosława Szonerta. I tu również mamy do czynienia z przypadkiem zmiany empli. Amant przelotczył się w „czarny charakter”, trzeba przyznać — z powodzeniem. Szonert uczynił swego Homodei doskonale odrażliwającym, antypatycznym i brutalnym.

Feliks Zukowski jako tyran Angelo zachowywał się bardzo powściągliwie i statycznie. Nie udało to co prawda grozy postaci tyrana, ale można i tak, i sądzić, że tak właśnie jest lepiej. Ten chłodny ton przydał nieco prawdopodobieństwa owej krwawej awanturze, jaką jest „Angelo”.

Tak to aktorzy starali się ratować kiepską sztukę i jej sławnego autora. Co, oczywiście, udać się nie mogło.



„Siódma minęła, ósma przemija” — „Smutek tropików” — „Zaginione miasta”

W naszym kraju istnieje ogromne zainteresowanie historią. Bibliotekarze pracujący w dzielnicach robotniczych i we wsiach informują, że największą popularnością u tzw. szerokich rzesz czytelników cieszą się przede wszystkim książki o tematyce historycznej, na drugim zaś miejscu znajdują się książki podróżnicze; literatura współczesna zajmuje miejsce bodaj że ostatnie. Wydawana przez tygodnik „Świat” — „Gazeta Tysiąclecia” miała ogromne powodzenie, do dziś wielu ludzi wymienia między sobą brakujące numery, poszukuje ich w antykwariatach, aby mieć pełny komplet tego interesującego piśmka, które dało cieka-

wie podany obraz historii Polski. Aż dziw bierze, że do tej pory wydawcy nie pokwapili się opublikować „Gazety” w jakimś specjalnym wydaniu — byłby to dla młodzieży bardzo pożyteczny podręcznik historii naszego kraju.

Duże zainteresowanie budzą publikacje o historii. Po pięknej książce C. W. Cerama „Bogowie, groby i uczeni” PIW dał do rąk czytelników ładnie wydany tom Paula Herrmanna pt. „Siódma minęła, ósma przemija”. Tym razem jest to bardzo ciekawie napisana historia najwcześniejszych odkryć geograficznych od epoki kamiennej do Kolumba. Dowiadujemy się z tej książki o ludziach

którzy na kilkanaście wieków przed naszą erą dokonali śmiałych wypraw handlowych poprzez oceany, czytamy o wyprawach dawnych Greków, Fenicjan, Rzymian.

PIW zapowiada wydanie książki Claude Levy-Straussa „Smutek tropików” oraz Paula Herrmanna „Pokażcie mi testament Adama”. „Książki te mają się ukazać już niedługo — dobrze się więc zapowiada ten rok dla miłośników starożytności i historii.

Wydawnictwo „Śląsk”, specjalizujące się w druku wianu dość kłepskich kryminałów, również pokusiło się o próbę popularyzowania wiedzy archeologicznej i historycznej, wydało tom Hermanna i Georga Schrei-

berów pt. „Zaginione miasta”. Książkę tę śmiało można polecić tym wszystkim, których trapią wątpliwości związane z zagadką zaginionej Atlantydy. Bracia Schreiber ciekawie wyjaśniają powstanie legendy o Atlantydzie. Czytelnicy nieco już zaawansowani w problematyce archeologicznej i historycznej odczują jednak nieco rozczarowania. Decyduje chyba o tym wybór tematu — ograniczenie się jedynie do miast. Przecież każde z omawianych miast wyrastało na innej glebie, żyło inną kulturą — Schreiberowie muszą się z konieczności ograniczać, omawiać materiał dość powierzchownie. Brakuje w książce informacji np. o miastach starożytno-

go Chozezmu, Piandżikentu czy słynnym Neopolu Scytyjskim. Bracia Schreiber — nie jedyni zresztą — traktują tereny Europy wschodniej, południowej Ukrainy i krajów w Azji środkowej jako odwieczną pustynię kulturalną. Współczesna wiedza archeologiczna absolutnie temu przeczy, dostarcza wielu dowodów istniejących tam przed wiekami wysokich kultur.

Z. N.

DOM KSIĄZKI DUM

RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE

RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE

Dziewczęta w bieli



Pierwszy rok nauki zaczyna się od pielęgnacji chorego. Umiejętne pościelenie łóżka to też sztuka

PIELEGNIARKA NIE POWINNA PŁAKAĆ

„Byłam wtedy na swojej pierwszej praktyce. Szpital widziałam w ogóle po raz pierwszy w życiu. Którejś nocy podczas mojego dyżuru umarło na oddziale dziecko. Zdolałam się już do niego przywiązać, cieszyłam się, że czuje się lepiej. Ta śmierć była dla mnie wielkim wstrząsem. Instruktor-ka mówiła, że pielęgniarka nie powinna płakać”.

Jak wówczas jej to tłumaczyła? Co powiedziała tej młodej dziewczynie, żeby stłumić naturalny odruch wobec pierwszej śmierci, którą widziała z bliska? Tego już dzisiaj nie pamięta. Wie natomiast, że następnego dnia po tym wydarzeniu poczuła się o kilka lat starsza.

Uczennica szkoły pielęgniarstwa, z którą rozmawiam jest wyraźnie poruszona tym wspomnieniem. I nagle następuje charakterystyczne skojżenie. Przy pominięciu mi się znane z obserwacji i z opowiadań pielęgniarki — automaty zbliżające się z ociąganiem i tylko na wyraźne żądanie do zdanych na ich łaskę „jednostek chorobowych”. Oto typowy obrazek: sala szpitalna w nocy, rozpalone dzwoni, na które nikt nie reaguje i pełne prawdziwej nienawiści skargi chorych. „Mógłby kto nawet i umrzeć a one by nie zająkały”. Czy te obojętne zupełnie na losy chorych pielęgniarki były takimi od początku? Czy przynajmniej części z nich nie przeszła jakiejś metamorfozy?

— Czy siostra się kiedyś nie zmieniła? — pytam swoją rozmówczynię. — Czy zawsze będzie siostra wrażliwa na cierpienia chorych?

Jest zaskoczona tym pytaniem. „Naprawdę trudno mi na to odpowiedzieć”. Najbardziej chyba lekka się momentu, kiedy zacznie być sama odpowiedzialna za wykonywaną pracę, kiedy zniknie „wszechwiedząca” instruktorka, która przedtem czuwała nad każdym jej krokiem. Ale nie o to przecież chodzi. Do odpowiedzialności łatwo się przyzwyczaić. Nawet jeżeli przyjmemy, że uczennice szkół pielęgniarstwa pracują również po to, aby otrzymać jak najlepszą ocenę i to wpływa na jakość ich pracy, to przecież wrażliwość przejawiająca się w stosunku do chorych jest naturalną reakcją i nie podlega ocenie.

Niewątpliwie ogromne

znaczenie ma w tym wypadku fakt, że na jedną uczennicę przypada 4-5 chorych, a na pracującą samodzielnie pielęgniarkę około 25 chorych (na nocnym dyżurze oczywiście więcej). W takiej sytuacji praca pielęgniarki musi się często ograniczać do wykonywania zleceń lekarza a właściwa opieka nad chorymi staje się niemożliwa. Pielęgniarek jest w szpitalach ciągle za mało, ilość absolwentek zaś wychodzących corocznie ze szkół pielęgniarstwa, w stosunku do potrzeb, jest minimalna i bynajmniej nie wzrasta z roku na rok.

ZAWÓD, KTÓRY SIĘ „PODOBA”

W Łodzi są trzy szkoły pielęgniarstwa: dwie pomaturalne (nauka trwa dwa i pół roku) przy czym jedna, AM, nie ma internatu, oraz jedna po dziewięciu klasach (nauka trwa cztery lata). Ta ostatnia szkoła położona jest w bardzo niefortunnym punkcie miasta — róg Narutowicza i Piotrkowskiej. Możliwość przebywania uczennic poza szkołą jest ograniczona regulaminem, a szkoła nie ma ani boiska ani ogrodu. Lokal nie jest zupełnie przystosowany do potrzeb internatu. Duża sala podzielona na boksy tworzy kilka sypialni. Szkoła nie ma centralnego ogrzewania. W tej chwili warunkiem dalszego jej istnienia jest uzyskanie dodatkowych pomieszczeń.

Szkoła 4-letnia ma niewątpliwie większe szanse wywarcia wpływu wychowawczego na uczennice, ze względu na ich młody wiek i długi okres pobytu w szkole. Do tej szkoły zgłasza się stosunkowo najwięcej kandydatek. Motywy wyboru zawodu przedstawiają się tam nieco inaczej niż w szkołach pomaturalnych. W ramach prowizorycznej ankiety przeprowadzonej na terenie szkoły, 48 uczennic na 118 oświadczyło, że przyczyną wybrania zawodu pielęgniarki było to, że zawód ten im się podobał. Nie można jednak zapominać o tym, że zawód pielęgniarki mógł się młodym dziewczętom podobać z różnych względów. Kto wie na przykład, czy większość z nich nie przypadł do gustu przede wszystkim mundur pielęgniarski? Z pewnością wiele z nich nie orientowało się naprawdę jak wygląda praca pielęgniarki. Dojrzałość psychiczną, której wymaga zawód, nie jest by-



Prowadzenie rejestru to nie tylko zwykłe zapiski — to prawdziwa historia zabiegów i ich skuteczności

najmniej przymiotem dziewcząt w wieku lat około 16. W związku z tym szok przy okazji pierwszego zetknięcia się ze szpitalem jest bardzo silny i bywa przyczyną dużego odświeżenia w toku nauki.

W szkołach pomaturalnych mało jest takich uczennic, które ten zawód naprawdę wybrały. Większość z nich znalazła się tutaj dlatego, że nie dostała się na wyższe studia. Ilość kandydatek zgłaszających się do tych szkół jest zaskakująco mała. Najmniejszym powodzeniem cieszy się szkoła AM, dlatego głównie, że nie ma internatu, a uczennice szkół w 85 proc. pochodzą spoza Łodzi.

PROBA PRAKTYKI

Stosunek do zawodu zmienia się jednak na korzyść w ciągu lat nauki. Decydujące jest pierwsze zetknięcie się z pracą w szpitalu. Większość uczennic po pierwszej praktyce nabiera mimo wszystko sentymentu do zawodu. Dlaczego tak się dzieje?

Oto jedna z najbardziej typowych odpowiedzi. „Do szkoły pielęgniarstwa przystąpiłam przed rokiem. Nad krokiem tym poprzednio głębiej się nie zastanawiałam. Teraz, gdy mam za sobą kilka miesięcy praktyki w szpitalu mogę wyrazić już swój własny sąd o zawodzie pielęgniarstwa. Moje pierwsze zetknięcie

z oddziałem szpitalnym było dla mnie dość osobliwym przeżyciem. Wrażenie jakie odniosłam nie należało do rzędu najlepszych. Wszystko, począwszy od białych fartuchów lekarzy i sióstr skończywszy na ścianach korytarzy budziło we mnie obawę. Jałgós dziwnie nie mogłam sobie wyobrazić siebie w tym zespole, myślałam, że nie poddam postawionemu przede mną zadaniu. Ale to pierwsze i chyba ostatnie tego rodzaju wrażenie. Okazało się, że wcale nie jest tak źle, jak sobie wyobrażałam. Praca przynosi dużo zadowolenia. Gdy uświadomiłam sobie, że mogę pomóc choremu, wtedy już w pełni zmieniłam swoje zdanie. Przecież to w nasze ręce, w ręce pielęgniarek — matka, żona czy syn oddaje osoby im najbliższe, potrzebujące fachowej pomocy i opieki. I to od nas samych, od naszego zachowania zależy czy uwierzą, że ich najbliższym nie się zlego nie stanie”.

Prawie wszystkie uczennice stwierdzają, że po pierwszej praktyce zdecydowały się ukończyć szkołę i że przyczyną była wewnętrzna satysfakcja, jaką daje praca pielęgniarki.

Po ukończeniu szkoły pielęgniarstwa kierowane są na trzy lata do pracy w szpitalu, a potem mogą albo w nim pozostać, albo przejść do lecznictwa otwartego. Warunki pracy wyglądają następująco: od 1000 do 1200 zł — po ukończeniu szkoły, a do 1600 zł po kilkunastu latach pracy.

ROZGORYCZENIE

Wśród starszych pielęgniarek jest wiele bardzo rozgoryczonych. Osiem godzin ciężkiej pracy to jeszcze nie wszystko. Są jeszcze nocne dyżury. Czasem nie przyjdzie koleżanka na następną zmianę (dyscyplina w szpitalu nie wygląda najlepiej) i po ośmiu godzinach trzeba zostać na następne osiem. Życie osobiste ulega przez to często poważnym komplikacjom. Na domiar złego szpitale są źle wyposażone, brak często najprostszycch urządzeń ułatwiających pracę. Pielęgniarki muszą same przenosić chorych, gdyż nie ma sanitariuszy. Jest jeszcze inna, drażliwa forma często przybierająca sprawę wzajemnego stosunku lekarzy i pielęgniarek. Szpital jest bądź co bądź

królestwem hierarchicznym. Młodzi lekarze czasem podkreślają swoją uprzywilejowaną sytuację i dają do zrozumienia pielęgniarkom, że one są przeznaczone wyłącznie do wykonywania ich poleceń. Pielęgniarki natomiast, szczególnie młode, nie zawsze są odpowiednio zdyscyplinowane. Gra tutaj również ważną rolę moment zazdrości z ich strony w stosunku do pozycji cyfrowej lekarzy. Spotyka się na przykład takie zdanie: „Ja po 20 latach pracy dostaję 1600 zł, a on po 3 latach kupił sobie samochód”. Z pewnością istnienie tego rodzaju antagonizmu nie wpływa dodatnio na atmosferę szpitala. Możliwość awansu pielęgniarek istotnie jest znikomą. Nawet najzdolniejsze spośród nich muszą obecnie albo poprzestać na średnim wykształceniu albo zmienić zawód. Utworzenie Wydziału Pielęgniarstwa przy AM zmieniłoby tę sytuację.

Kontakt z szkołą po jej ukończeniu praktycznie się kończy. Istnieje projekt, aby poszczególne oddziały obsadzać tylko absolwentkami szkoły, ażeby szkoła mogła kontrolować ich pracę. Ważne jest również, aby funkcje przełożonych i oddziałowych pełniły osoby odpowiednio dobrane, doświadczone zarówno w pracy zawodowej jak i pedagogicznej. Szpital przy ul. Sterlinga jest chyba jedynym szpitalem, w którym choroby chwalą opiekę pielęgniarską. Zmieniła się ona jednak na korzyść dopiero po objęciu stanowiska przełożonej przez siostrę Kanabus, związaną również bezpośrednio ze szkołą. Dyrektor szpitala dr Alchiewicz twierdzi, że w szpitalu chciałby widzieć absolwentki szkoły, gdyż lekarzom łatwiej jest znaleźć z nimi wspólną płaszczyznę fachowego porozumienia.

WARUNKI ATRAKCYJNOŚCI

Zawód pielęgniarki jest i będzie zawsze atrakcyjny przez to, że daje możliwość wyboru terenu i rodzaju pracy. W tej chwili jednak trwa sytuacja, w której przeważają mniej atrakcyjne strony zawodu.

Nie bez znaczenia jest obecnie pozycja społeczna pielęgniarki. Rzecz charakterystyczna, że nie lubią one przynajmniej do swego zawodu. Na Zachodzie zdobycie dyplomu pielęgniarki jest uważane za awans społeczny, a pielęgniarki traktowane są ze specjalną sympatią i szacunkiem. Tymczasem u nas... Jedną z uczennic szkolnej pielęgniarstwa napisała: „Zastanówmy się nad tym wszyscy, ale społeczeństwo — dlaczego patrzyście z pogardą na mnie. Czy dlatego, że biorę wasze dzieło na rękę, czy dlatego, że opiekuję się nimi?” Nie można całkowicie zgodzić się z tą wypowiedzią, ale nie się przecież bez przyczyny nie dzieje. Nie zapanowały o tym, że pielęgniarki stykają się na codzień, zawo- dowo z najgorszą stroną życia i to nie tylko najbardziej tragiczną, lecz najmniej estetyczną. Wymaga to jakiegoś równoważnika. Na widok śmierci i cierpień najskuteczniejszym antidotum jest własne, pogodne życie osobiste i rodzinne. Widząc zaś życie od strony jego przejawów fizjologicz-

nych trzeba również zobaczyć je od strony zupełnie innej, czyli po prostu trzeba pójść do kina i do teatru, poczytać czasem książkę, aby zachować jakiś taki poziom kulturalny, który przecięt i z moralnym najściślej się wiąże.

ŚWIĘTE OBRAZKI I „FOTKI” AKTORÓW

A jak to wygląda w praktyce? Rzadko które pielęgniarki posiadają własne mieszkania. Większość z nich pochodzi spoza Łodzi i chce w mieście pozostać. Gdzie zatem mieszkają po ukończeniu szkoły? W mieszkaniach szpitalnych (po kilka w jednym pokoju) albo w Domu Pielęgniarek. Szpital przy ul. Spornej nie może zostać w całości uruchomiony, bo część budynku zajmują mieszkania pielęgniarek. Dom Pielęgniarek jest instytucją obecnie konieczną, ale nie rozwiązuje zagadnienia. Oto jego obraz: duże nieprzytulne pokoje przeznaczone 5-osobowe. Tutaj pielęgniarki przychodzą po ośmiu godzinach ciężkiej pracy, a ponieważ pracują przeważnie na kilka zmian więc nie ma mowy o prawdziwym odpoczynku. W pokojach przeznaczone dla kobiety albo usiłują spać, albo kręcą się po pokoju i zajmują jakimiś bliżej nieokreślonymi czynnościami. Wszędzie one są dziwnie apatyczne. Pytamy czy zadowolone są ze swojego obecnego mieszkania.

— Tak, już się przyzwyczaiły.

Na ścianach wiszą święte obrazki w połączeniu ze zdjęciami aktorów filmowych.

Kierowniczka Domu siostra Halina Kozłowska, twierdzi, że Dom można by zmienić na korzyść jego mieszkańców. Wystarczyłoby poprzeczyć pokoje, ale pierwszym do tego krokiem musi być założenie centralnego ogrzewania.

Na dole w świetlicy stoi fortepian. Nikt nie usiłuje z niego korzystać. Jest biblioteka o niewielkiej wprawdzie ilości książek, ale i tych nie ma kto czytać. Wyobraźmy sobie teraz, że młoda i pełna dobrych chęci dziewczyna po skończeniu szkoły zamieszka w takich warunkach. Dostanie się przede wszystkim w środowisko o składzie bardzo mieszanym.

Drogi do zawodu pielęgniarek były bardzo różne. Część z nich ukończyła kursy PCK, część stała się pielęgniarkami drogą awansu społecznego. Oczywiście, takie środowisko nie wywiera najlepszego wpływu na absolwentki szkół. Wszystko składa się na to, że muszą one zmienić się na niekorzyść. Zresztą na przykładzie pielęgniarek najdrażliwiej ujawnia się kryzys ogólnego stosunku człowieka do człowieka, który obecnie albo się upraszcza, albo komplikuje.

Zajrzyjmy jednak na salę szpitalną. Zobaczymy wdzięcznych chorych i chorych rozgoryczonych. Ludzi zależnych zupełnie od innych ludzi. Tam prymitywne pojęcia dobra i zła są zawsze wartościami realnymi.



List od miłego? Ateż tak. Tęskni, wiadomo — inne się śmi eja, ale i trochę zazdroścza

ROZKŁAD JAZDY POCIĄGU -WIDMO

(Dalszy ciąg ze str. 1)

miotanie się w poszukiwaniu nowych dróg, zbyt wiele czasu poświęcamy na dyskusje o możliwościach rozwoju jakie ma młodzież, a może po prostu trzeba by kawalek kija?"

"Wydaje mi się" — to nader skromne uzasadnienie bardzo ważkich propozycji. Jak długo jeszcze w ten sposób będziemy dyskutować o młodzieży?

2

"Społeczna dezorganizacja" i przestępczość nieletnich

Pozwolę sobie na jeszcze jedno — zdawałoby się oczywiste, a jednak na te reportaże niezbędne — rozróżnienie. Chodzi o młodzież przestępczą i młodzież w ogóle.

Problematyka przestępczości młodzieży jest stara, znana i zbadana dokładnie. Również u nas w Polsce. Wiadomo na przykład (okazuje się — nie wszystkim), że podstawową "bazą rekrutacyjną" młodocianych przestępców jest młodzież nie objęta szkołą. Zarówno ta, która po ukończeniu siedmiu oddziałów beczynnie oczekuje pełnoletności, jak i ta, wobec której obowiązek powszechnego nauczania nie jest dość konsekwentnie egzekwowany. Wiadomo również, że przestępczość nieletnich cechuje pewna "prawidłowość przestrzenna". Młody człowiek wykoleja się zazwyczaj w grupie rówieśniczej. Z kolei te grupy rówieśnicze dadzą się dość dokładnie lokalizować na mapie miasta, dzięki czemu można przewidywać miejsce powstawania nowych grup.

Nie ma tu więc żadnego tajemniczego a niepokojącego sfinksa. Prawidłowości są wykryte i zgodnie z nimi postępuje akcja profilaktyczna. Można, rzecz jasna, dyskutować czy jest to dość energiczna akcja. Ale jest. Jeśli zaś chodzi o rozmiary przestępczości, to w 1957 r. zasadzono w Polsce około 15.000 nieletnich. W stosunku do ogólnej ilości zasadzonych przestępców stanowi to dwukrotny wzrost wobec roku 1938 (przytaczam za Kozakiewiczem, "Żeby nie było recydywistów", "Argumenty" nr 11 (1960)).

I to jest — oczywiście

ta w polskich warunkach — nie sprawdziła się. Generalnie — powtarzam. Szczegółowe badania — na przykład hoteli robotniczych, adaptacje repatriantów itp. — wykazały jej prawdziwość częściową. Człowiek wyrwany ze swego najbliższego środowiska — rodzinnego czy lokalnego — stawał się bardziej podatnym na ewentualny zły wpływ nowego otoczenia. Wszelako żadnych szerszych perturbacji spowodowanych uprzemysłowieniem nie udało się stwierdzić. Nie wykluczone, że pewne korelacje ujawnia badania nad rodziną, zwłaszcza nad pracą zawodową kobiet — matek. Nie zmienia to jednak faktu, że w naszych warunkach powoływanie się na "społeczną dezorganizację" przy ogólnym rozważaniu problemów młodzieżowych jest bezzasadne.

3

"Masowa komunikacja" i niebezpieczeństwo odrębnej kultury młodzieżowej

Z problematyką młodzieżową — tą ogólną — silnie wiąże się swoisty "znak czasu" — środki masowej komunikacji (ściślej: masowego oddziaływania). Wielomilionowe nakłady gazet, absolutny zasięg radia, kino, telewizja, literatura sprawują, że elementy kultury dorosłych nadzwyczaj szybko objętych są wśród młodzieży. Sytuacja, w której wychowywany młody człowiek żył mniej więcej w izolacji od tak zwanych "problemów szerokiego świata" — choć niedawna jeszcze — należy jednak do przeszłości. A jak wiadomo pojęcie wpływu czasu w przemianach społecznych jest nader względny pojęciem.

Ma to przynajmniej dwa doniosłe skutki. Pierwszym jest sprawa autorytetu dorosłych, drugim — sposób wrastania młodzieży w dorosłe społeczeństwo. Oczywiście oba te skutki mają ze sobą ścisły związek.

Młodzież w wielu — że-

by nie powiedzieć: niezbędności społecznej. Paradoxem nowoczesnej cywilizacji jest to, że oszalałymi postępem technicznym ogranicza z dnia na dzień arsenal tych środków: mózg elektrony przekalkulował na chłodno romantyczne marzenia młodego człowieka o misji jaka czeka go w życiu. Trzeba mieć dużo odwagi, aby ze szczerą umysłową precyzją dostrzec cel dość konkretny i atrakcyjny, zasługujący na wysiłek, entuzjazm i oddanie. Epoka wykwintowanego hydraulika ma tutaj wyższość nad epoką astronauty. Hydraulik był dostrzegalny i jego rola posiadała niewątpliwie społeczne znaczenie. Rolą astronauty można się oczywiście zachłysnąć, ale dostrzec go niepodobna.

by nie powiedzieć: niezbędności społecznej.

Aby nie było nieporozumień śpieszę wyjaśnić, że oba te zawody traktuję umownie, symbolicznie. Tak zresztą jak traktuję o młodzieży. Na jednym biegunie — atrakcyjności społecznej — znajdzie się zapewne gwiazda filmowa, miss Polonia, "oblatywacz" odzrutowców może lekarz i profesor Uniwersytetu. Reszta to "chała". Pewnie, że jakiś zawód trzeba w końcu mieć, ale to nie jest to, czego pragnęłoby się bardzo, do czego warto by mobilizować swoje siły, podejmować ofiary i wyrzeczenia.

Dlaczego tak się dzieje? Idealny życiowy młodzieży kształtuje się przecież pod wpływem znanej jej doskonałej nowoczesnej cywilizacji. Cywilizacji zmotoryzowanej, cywilizacji lodówki, telewizora, masowych podróży zagranicznych. Ideal ten jest więc wierny kulturze, tymczasem ona sprzeniewierza mu się na każdym kroku. I nikt — względnie bardzo nieliczni — nie uważa za stosowne wprowadzić jakiś porządek w ten chaos sprzecznych pojęć: dlaczego tam jest, a tu nie ma; jaka jest naprawdę realna droga, aby dorównać, lub jak kształtować idealny życiowy w granicach społecznej rzeczywistości pojmowanej dynamicznie, rozwojowo. Najprędź były drętwie prasówki. Teraz jest woda w ustach, najwyższej wymijające odpowiedzi.

W takiej sytuacji może rodzić się bezprzyszłościowa postawa wobec życia. Nierzadko towarzyszyć jej będzie zubożenie i nawet nihilizm. Ilu jest takich? Jakże liczni idą siłą inercji, siłą dobrych tradycji ludzkiego awansu, które szczęśliwie jeszcze się nie przeżyły. Ale bez entuzjazmu, bez przekonania.

Powiada się, że młodzież nie ma zainteresowań. Nie prawda! Zainteresowania są tak nieodłączną cechą człowieka, że nie da się on bez nich pomyśleć. Tyle, że mogą być różne. Zastanówmy się raczej co robimy, aby właściwie, twórczo zainteresowania w młodzieży rozbudzić. Aby wdroyć ją w sposób myślenia, w którym odnajdzie sens swojej roli życiowej i swojego społecznego miejsca. Co robi w tej sprawie szkoła, oświata dla dorosłych-rodziców, czy rozumieją to dość wyraźnie organizacje młodzieżowe? Owszem, rozkłady jazdy są. Urzędowe i nieoficjalne, ze stemplami świeckimi i religijnymi. Oprócz tego, często niezależnie jest garść wiedzy o życiu społecznym, o wychowaniu

A pociąg nie jest widmem. Ma zupełnie realne kształty. Tylko rozkład jazdy staje się czasem nieczytelny.

ANDRZEJ MAZUR

stykach — wypadkach nie potrzebuje już zasięgać światłej rady dorosłych, ponieważ śpieszy jej w sukces "masowa komunikacja". Ona również służy do ujawniania jakże częstej niekompetencji czy nawet ignorancji dorosłych, do demaskowania, srogich pouczeń i wzniosłych kazań. Szacunek dla dorosłego to — biorąc rzecz w masie społecznej — uznanie jego wyższości, przekonanie o potrzebie oparcia się na kims, kto lepiej rozumie życie, kto może pomóc w to życie wejść. Bez takiego przekonania szacunek, autorytet, staje się werbalną przybudówką, jeśli nie uciążliwym świadczeniem powierzchownych grzeczności.

Oto tak zwana "płciowa rozwiąłość" młodzieży. Koronny argument w moralizatorskich dywagacjach na temat "kryzysu pokolenia": Kiedyś (nie tak dawno!) chłopiec i dziewczyna wiedzieli, że owe "brzydkie rzeczy" mogą mieć miejsce wyłącznie w małżeństwie, że nieodwołalnie pociągają za sobą ciężkie i urodzenie dziecka. Dziś wiedzą bardzo dokładnie, że ciężkie nie tylko można — i wolno — przetrwać, ale również można jej zapobiec. Przerzwanie i zapobieganie ciąży znane już było ludom pierwotnym w epoce "kamienia głazzonego". Wówczas jednak jako magia kobiety zamężnej. Dziś nie jest nie tylko magią, ale powszechnie znaną metodą której niejedna niepełnoletnia córka może nauczyć własną matkę. Córka ta również ma dość kompletne rozeznanie — a przynajmniej może mieć — jak to jest z owym sanktuarium małżeńskiego pożycia. Sanktuarium to nie zmieniło się w ciągu 3 tysięcy lat, ale społeczna wiedza o nim zmieniła się w ciągu lat ostatnich bardzo znacznie.

"Masowa komunikacja" bowiem nakłada na dorosłych wychowawców absolutny i surowy obowiązek mówienia z młodzieżą serio i szczerze. Magiczne formuły przesyły się. Młodzież staje się dorosła swą społeczną wiedzą już wtedy, kiedy jeszcze nie dojrzała ani biologicznie, ani — tym bardziej — intelektualnie.

4

Hydraulik, astronauta i miejsce jednostki w społeczeństwie

Leksykon humanistycznej problematyki XX stulecia odnotował jedną jeszcze sprawę dużej doniosłości: sprawę miejsca i roli jednostki w społeczeństwie. Nie chodzi tym razem o stary spór o dysproporcje w postępie moralnym i technicznym człowieka. Problem uwidacznia się w aspekcie rozeznania jednostki, arsenału środków mających zapewnić jej maksimum społecznej satysfakcji, to jest świadomości własnej przydatności, użyteczności, żeby

A człowiek przecież nie rodzi się z umiejętnością rozróżniania dobra i zła moralnego. Uczy się ich w swym społecznym doświadczeniu, częściej kierując się wewnętrznym przekonaniem o słuszności reguły niż nakazem etyki takiej lub innej. Gdy reguła w kregu rodzinnym obwarowana była sankcją ciężką (zdaniem dorosłych najskuteczniejszą, bo najgroźniejszą sankcją), a oficjalnie obowiązywał eunochoidalny wzór bohatera, w którego życiu "okliwe

JERZY WILMAŃSKI

W tej nocy na wprost wyciągniętej dłoni są drzewa wilgotne i dotykane w tej nocy istnieją ponadto przechodzień w czarnym meloniku przechodzień z białą chryzantemą i porzucona waltornia będąca w rzeczywistości miedzianym okrucieństwem symfonii

w tej nocy na wprost wyciągniętej dłoni tuż za krawędzią palców koncertuje jesień.



W liście się noc wplątała wyniosła i blasku pełna
Dziwięć jest muz wieczornych i jedna złota pełnia
Jest siedem dni popielatych i jeden krwotok świtu
Gasną neony i milkną stereofony głośników
Nadpływają grobowce dymów i dudni śmierć

odrzuć

Pod krzakiem ognistym konają — Chrystus i Jehowa
A gdy się już pożegnamy w dolinie Józefata
Zostanie po nas cyprys i purpurowa Erato.

Wędrowali w parujące duszne lipce i w soczyste ciężkie sierpnie umierali
Naklejał się na szary tynk przedmieścia aby umrzeć w zatrzaśniętej z naglą bramie
Galerami wypływali w porty obce i tonęli gdzieś nad ranem w brudnych dokach
Na dalekich promenadach gasły noce Oni trwali w jednakowym półuśmiechu
Piętnowani z twarzą wyżyła z twarzą szczura Wciąż się rodzą umierają bezzwłocznie
Na dalekich promenadach święty płoną Oni trwają w jednakowym półuśmiechu





KONRAD FREJDLICh

DYSKUSJA O MŁODZIEŻY

Rówieśnicy – próba zbliżenia



Albo może żyjemy na to byśmy przyszłym szlaki brukowali
B. Drozdowski

Od trzech tygodni na łamach tygodnika, który czytacie teraz, trwa, jak głosi reklamowa witryna z nr 11 — dyskusja o młodzi. Muszę przyznać, że spośród dotychczasowych wypowiedzi wzbudził mój poważny niepokój głos naukowców, większość nawet niż fakty z „czarnych” reportaży Badziaka, Janczura i Zegarowskiego. Znani socjologowie ograniczyli się do kilku ogólników i uwag formalnych, stosują uniki, wymiagają się od problemu. Nie chcą, nie mogą wiedzieć, że tak ważna dziedzina badań społecznych, jaką stanowią postawy, ideaty, konflikty współczesnej młodzieży, wymyka się naszym badaczom.

Tymczasem zainteresowanie dyskusją w Łodzi jest wielkie, problem podchwytywa gazety codzienne, a zainteresowani, postawieni w stan oskarżenia, przenoszą go do klubów i kawiarni. Szary czytelnik nie wie jednak do końca, o jaką to mianowicie młodzież idzie. Czy o nieletnich przestępców? Czy o młodzież szkolną, czy o „puszczalskie”? Czytelnik otrzymał fakty wyrwane z kontekstu, jakł stanowi współczesne życie, czytelnik tych faktów nie

potrafi skomentować. Gorzej — publicyści też nie najlepiej sobie z nimi radzą. Chodzi o to, że wymienione wyżej trzy reportaże nie sięgają do źródeł zła i nie wskazują drogi jego usunięcia.

W tych warunkach rzeczywiste fakty nabierają charakteru niebezpiecznej magli. I to nie tylko dlatego że wśród tylu fascynujących konkretnych, problem zasadniczy — postawa młodzieży jest dyskutowany w kategoriach abstrakcyjnych. Badziak, Janczur i Zegarowski namalowali swoje obrazy w dwóch wymiarach, o trzecim zapominają. W latach 1952—1956 działała na terenie Łodzi grupa „Ambasada”. Zbierali się jej założyciele na Julianowie w willi jednego z członków, zapuszczali stary, pił czerwone wino półsłodkie, jedli tanie ciastka, mówili dużo o literaturze i filozofii. Mieli po dwadzieścia, dwadzieścia sześć lat. Sprobowali dziewczęta spotkać na ulicy, zaczęli w tramwaju, przygadane i „poderwane”. Połem każdy ze swoją szedł do innego pokoju. Powtarzało się to przez cztery lata codziennie, a każdy rok miał 365 dni. W tym pięćdziesiątym szóstym roku „Ambasada” się rozpadła. Próbowali ją ratować, utworzyli „Spółdzielnię Wrzód” i „Spółdzielnię Beton”. W 1958 roku odbył

się proces, którego akta dopiero teraz są dostępne, dwa grube tomy, około tysiąca stron. Znajdę ceniony krytyk: „Ambasada” była zresztą o charakterze seksualnym”. Znajdę zdoiny lekarz: „O ile wiem kobiet tych przewijało się tam dużo. Poziom intelektualny tych kobiet był zróżnicowany, tj. przychodziły tam kobiety zarówno o wysokim poziomie intelektualnym jak też i kobiety reprezentujące poziom całkiem przeciętny”. (Jak wykazał przewód sądowy tych przeciętnych było najwięcej). Znajdę wybitny poeta młodego pokolenia: „Interesowały mnie psychopatyczne odchylenia współczesnej młodzieży”.

Co jednak ma do powiedzenia główny oskarżony który z pejcem w rękę gwałci młodą 18-letnią robotnicę przy pomocy kolegi, który ją fotografuje? Oskarżony — „samouk” i „artysta”, — nie pracujący od 1952 r. sprzedający własną krew i rzeczy po zmarłym ojcu — pisze z więzienia do przyjaciela: „Znasz mnie najlepiej, jestem idealistą, duch jest dla mnie więcej wart od materii”. Do jego pokoju na drugim piętrze w pobliżu Dworca Fabrycznego, przyszło w sumie osiemset dziewcząt. Oskarżony drobniogłowo prowadził statystykę w brązowym notesie. Przychodziły dziewczęta ze szkół, ekspedientki, studentki, właścicielki prywatnych sklepików, przychodziły kobiety najróżniejsze którym imponował lysis, niski, ze złotym zębem „redaktor-artysta” oraz jego przyjaciel, wysoki, chudy, nigdzie nie zatrudniony, „filmowec” właściciel aparatu fotograficznego marki „Zorka”.

Tę sprawę sprzed kilku lat odgrzebuje nieprzypadkowo. W dyskusji o sprawach naszego pokolenia trzeba zrozumieć podstawowy fakt: indywidualność człowieka kształtuje się pod wpływem obiektywnie istniejących faktów społecznych. To wynika ze ścisłego związku zagadnień moralnych i zagadnień społecznych. „Ambasada” działała w latach, kiedy wielkie migracje żywiołowo napędzały ludzi ze wsi do miasta. Był to czas wielkiej budowy, czas wielkiej przemiany. Dziewczęta, które przyjeżdżały „za chlebem”, ginęły w nowych, skomplikowanych warunkach, ginęły w zaułkach olbrzymiego miasta. Nie mogły sobie znaleźć miejsca, spotykały młodych pewnych siebie ludzi, wykształconych, kulturalnych, znających miejscowe stosunki, obiecujących protekcję i pomoc. Sły do nich, a potem nie potrafiły się oprzeć.

W małych miasteczkach i wsiach normy moralne działały na zasadzie prawa — były narzucone z zewnątrz, ich naruszenie pociągało za sobą bezwzględne i okrutne konsekwencje. W nowych warunkach, w mieście, gdzie człowiek żyje anonimowo, nieznanym, gdzie wciąż przybywali nowi, gdzie ciągle trwała migracja, normy moralne nie miały się kiedy wykształcić.

Moralność jest produktem świadomości, ale to nie znaczy, że jest całkowicie wolna od wpływów, całkowicie autonomiczna. Sądy, opinie, normy postępowania, kryteria, oceny często ze sobą sprzeczne i często pomieszane działały ze wszystkich stron na jednostkę. Oczywiście jednostka nie zachowuje się biernie, ona się w tym żywiole szamocze i techniką swojego życia tworzy nowe wartości. Tyle, że walka jest nierówna; opinie i sądy mające charakter najogólniejszych zasad współżycia ludzi działają obiektywnie i wbrew świadomości. W ten sposób tworzy się nowa moralność także i — moralność socjalistyczna. Oddaje głos publicystyce warszawskiej:)

„Mówiąc o wychowaniu w duchu „moralności socjalistycznej” często nie zdajemy sobie sprawy, co ten termin oznacza. Wiemy, że nie ma ona żadnych autorytetów „pozaświatowych”. Systemu norm moralnych obowiązujących w socjalizmie nie dyktuje żaden dogmat. Autorytet tej moralności jest wyłącznie natury społecznej. Wynikać ona musi z akceptowanych społecznie zadań, potrzeb i pragnień człowieka i jego stale poszerzającej się wiedzy. Każda epoka i każde społeczeństwo wymaga nowych rozwiązań i nowych uogólnień moralnych. Aby zatem mówić o moralności epoki, trzeba zanalizować szczegółowo wszystkie dziedziny życia ludzkiego, uświadamić sobie zarówno zmiany strukturalne, jakie w nich zaszły, jak i ich konsekwencje w ludzkich dążeniach, uczuciach i przekonaniach”.

Takie są teoretyczne wymogi naszej epoki. Jakże jest tutaj miejsce naszego pokolenia, jakie perspektywy? Nie neguję tego zdania, które mówi poeta: „Albo może żyjemy na to byśmy przyszłym szlaki brukowali?”. Ale jesteśmy konkretem — teraz — jesteśmy żywymi ludźmi. Zerwaliśmy z mitami, że źle pojętym bohaterstwem, „karabeja została na strychu”, jak pisze Grochowiak. To są sprawy ogólnie znane i jeżeli o nich wspominam, to dlatego, żeby inne, bolesne sprawy o których za chwilę powiem, o których pi-

sali Badziak, Janczur i Zegarowski nie posłużyły do oceny zdecydowanej większości młodzieży. Żeby czytelnik, nie powiedział: młodzież jest zła, mężczyźni kibicują życiu i piją deprawują dziewczęta, czekają tylko na okazję, żeby się puścić.

W naszym życiu anno 1960 działają wciąż różne stosunki społeczno-ekonomiczne. Dominują socjalistyczne, ale nie zniknęły do reszty kapitalistyczne. Ścieranie się ich wnoszą niemało zamieszania do systemów moralnych, których jest kilkanaście, które wytworzyły poszczególne grupy społeczne. W tych warunkach człowiekowi młodemu, wstępującemu w życie, człowiekowi niez zaangażowanemu w rzeczywistość — grozi potencjalne niebezpieczeństwo. Tylko bowiem zaangażowanie społeczne wyznacza ścisłe ramy dla moralności jednostki bez obawy o katastrofę. Chodzi o to, że tylko niewielki odsetek młodzieży, odsetek w skali krajowej nie przekraczający kilku tysięcy, jest chorośliwie bierny. Tym ludziom grozi całkowita zagłada.

Tu wreszcie pora na wyjaśnienie. Reportaż Badziaka i Janczura a reportaż Zegarowskiego, to zupełnie inne zagadnienia.

Można świadomie mówić o kryzysie religii. Przyzwyczailiśmy się przez wieki panowania kościoła do niezłomności, niepoznawalnego Boga, a potem nagle znaleźliśmy się na terenie wielkiej budowy. Czytelnik spostrzeże od razu — bywały „Egzotycznej” i kawiarni śródmieścia, postaci reportażu Badziaka i Janczura pochodzą ze środowisk drobnomieszczańskich gdzie dotychczas panowały okrutne konwencje. Przelamują te konwencje, wchodzą do kawiarni, tworzą swoją religię. To już nie mgła, to religia, mistycyzm, dekadentyzm, bierność. Bierność rzutuje na wszystko co robią są jej niewolnikami. To akt rezygnacji, może nawet zbrojny świadomie, bo ci młodzi ludzie nie potrzebują się troszczyć o swój byt. Ci ludzie nie chcą pracować, nie chcą zaangażować się w wielkiej budowie. Szukają ucieczki, usprawiedliwienia: Pogadajcie z tymi którzy godzinami wysiadają za szybami lokali śródmieścia — będą mówili o biologicznym zderzeniu człowieka, będą mówili o in-

dywidualizm. A oni nie chcą, nie potrafią kojarzyć indywidualizmu z potrzebami społeczeństwa. Dlatego świadomie naruszają normy współżycia społecznego, które obowiązują w świecie budowy. To nie są ani takie dzieci, ani takie pijane — to chuligaństwo moralne.

Któryś z naszych polityków zauważył słusznie: „Czy analiza przestępczości, analiza zjawisk z dziedziny moralności społecznej nie byłaby dla nas — z jednej strony — źródłem otuchy, potwierdzeniem dokonanych w kraju ogromnych przeobrażeń, a z drugiej strony — bodźcem do jeszcze energiczniejszego zwalczania ujemnych zjawisk istniejących jeszcze w niemałej liczbie w naszym życiu?”.

Przez szereg lat dokuczało nam zjawisko chuligaństwa, zjawisko nieposzanowania norm współżycia społecznego. Było ono tak dotkliwie, że zapomniałmy — wszystkim innym. Represje karne wyrugowały je niemal całkowicie, ale problem dotyczący świadomości, istniejący prawie w zgodzie z kodeksem karnym, problem chuligaństwa moralnego — pozostał. Jest on trudniejszy do zwalczania, gdyż dotyczy intencji, myśli, rzadziej ujawnia się na zewnątrz. Ingerencja społeczeństwa może polegać jedynie na działalności wychowawczej. Trzeba pokazywać młodym na czym polega problem, trzeba im wytłumaczyć, że jedynym ratunkiem tkwi w zaangażowaniu społecznym. Chodzi o szeroko zakrojoną akcję prewencyjną, poprzez organizacje społeczne, szkoły, uczelnie, milicję, prasę, środki propagandy, chodzi o zsynchronizowanie wysiłków wszystkich.

Ingerencja społeczeństwa w zwalczaniu chuligaństwa moralnego nie musi przybierać charakteru karnej represji pod ładą pretekstem. Ale musi być wyrozumiała, musi wnikać w przyczyny zła. Każdy dzień

1) Anna Pawelczyńska: Chuligaństwo. Studia pod red. prof. Sawickiego. Wyd. Prawnicze, 1956.

(Dokończenie na str. 11)

Zdjęcia z cyklu: „Łódź wieczorem”
EKA



Miedawna dyskusja między „Współczesnością” a prasą łódzką na temat przeniesienia Szkoły Filmowej do Warszawy odsłoniła rąbek spraw zawaolowanych. O tych sprawach w stolicy mówi się jako o czymś naturalnym, w tzw. „teren” — z goryczą, a w rozmowach między terenem a stolicą spraw tych nie porusza się na ogół, gdyż stolica nie ma uczucia goryczy, a „teren” sprawę przemilcza, aby nie być pomówionym o kompleks prowincjonalizmu. W niektórych „pionach” unika się nawet słowa „prowincja” a używa określenia „teren”. Jest w tym coś w rodzaju liberalizmu. Bo powiedziec: „jesteś prowincjonalny” — może obrazić. Natomiast zwrot: „jesteś terenowy” — brzmi raczej groteskowo niż obraźliwie.

Zreszta tereny bywają różne. W niektórych środowiskach warszawskich chętnie określa się Łódź jako przedmieście Warszawy. Jest w tym trochę racji. Np. spora ilość profesorów łódzkich uczelni wykłada na uczelniach warszawskich. I oczywiście, na odwrót. Jednakże autorem owego określenia chodzi o coś zupełnie innego. Nie o postawienie znaku równości, ale o uznanie „terenu” za część metropolii ze wszystkimi konsekwencjami. A konsekwencje są takie, że przedmieście może spać spokojnie i zajmować się maglem i zepsuta pompa, bez kłopotu o „pokarm kulturalny”, który zostanie mu dostarczony w stanie gotowym z metropolii. Jest ona gotowa dać wszystko: i naukę w Szkole Filmowej, i kierownictwo dla wtywni filmowców, i kompletny program telewizyjny i radiowy. Mamy tu coś w rodzaju naukowo-kulturalnych domków standardowych z gotowych elementów, z dostawą do „przedmieścia” i „terenu”.

Ze jest w tym przekonanie o własnej kulturalnej wyższości — to pewne. Ob. Kowalski, póki mieszkał w Parzylowach, był kulturalnie niższy. Należało mu dostarczać mleka w proszku. Gdy przeniósł się do stolicy, przeszedł tym samym jakby proces zalkowania, mutacji, dojrzenia i stał się zdolny do przyrządzania pokar-

ANDRZEJ ZAWADA

Metamorfozy Kowalskiego

mu dla innych. Np. pochodzących z Parzylów.

Tego rodzaju przeobrażenia dokonały się w wielu dziedzinach. Specjalnie dookuczliwie dają się odczuwać w radio i telewizji, jako że instytucje te cechuje centralizacja niepodobna do żadnej innej. Łatwo sobie wyobrazić jakakolwiek dziedzinę przemysłu, w której nad dziesiątkiem równorzędnych fabryk stoi centralny organ zarządzający. Gdyby jednak Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Marchlewskiego były jednocześnie centralnym zarządem tego przemysłu, to organizacja taka należałoby uznać co najmniej za dziwną.

Jeśli przykład wzięty z przemysłu nie przekonuje, to można sięgnąć np. do prasy. Póki gazety polskie są zrzeszone w RSW „Prasa” — organizacja wydaje się logiczna. Gdyby jednak funkcję kierowniczą w stosunku do tych gazet pełnił „Głos Olsztyński” lub „Życie Warszawy”, to taki system organizacyjny nie byłby chyba najszcześniejszy.

Taki właśnie schemat, w którym wszystkie jednostki są równe a warszawskie — nairówniejsze, panuje w radio i telewizji.

Tak więc np. ośrodki terenowe mają swoje redakcje literatury i dramatu, publicystyczne, dziecięce, rozrywkowe, ale poza wydzielonymi minutami programu lokalnego nosa nie pokazują w programie ogólnopolskim bez zgody odpowiedniej redakcji warszawskiej. Również sprawa etatów załatwiana jest w ten sposób, że otrzymuje je Ośrodek Warszawski i jako iudex in causa sua sądzi. Ile — komu. Toteż czytelnik byłby bardzo zdziwiony, gdyby następnym był inne niż sa. tj.: 4 rozgłośnie radiowe i Telewizja Warszawska mają 2.700 etatów, natomiast 16 rozgłośni i 4 telewizje prowincjonalne mają ich... 1.900. No i oczywiście stolica wie-

ła na siebie trud zapelnienia programu w 80 proc.

Ha — cóż... Powiedzenie, że „jesteśmy tylko ludźmi”, można stosować nawet w Warszawie.

Oczywiście. Stolica jest droga sercu każdego Polaka. Wysokość świadczeń na SFOS stanowi tego niewątpliwego dowód. Z faktu tego nie wynika jednak, aby zdolność przeżywania kulturalnego pokarmu była przywilejem tylko osob w zameldowanej w Warszawie, aby — wbrew pozorom — dokonanie takiego meldunku miało cech wierzowania. Istnieje jakiś faktyczny podział funkcji poszczególnych miast i ról tych z nich, które mają stacje telewizyjne (Łódź,

czyli goście mile widziani

mów. Czy wyeliminuje? — Należy wątpić. A wątpliwości powstają, jeśli przestudiować istote stosunków między Telewizją Warszawską a prowincjonalną na przykładzie choćby Łodzi. Pomimo wielu braków w



Katowice, Gdańsk) jest tak wyraźnie zarysowana, ich znaczenie w życiu kraju określone tak wyraźnymi cyframi, że szersze omawianie tych charakterystyk można uznać za zbędne. W najbliższej przyszłości ma powstać — na razie skromny — Ośrodek Krakowski. To dobrze, wszelkie znaki na niebie i ziemi mówią o czymś zupełnie przeciwnym. Każdy telewidz warszawski wie, że odbiór Łodzi jest w Warszawie nie gorszy, a często znacznie lepszy niż

urządzeniach Ośrodek Łódzki góruje i w ciągu jeszcze 3 — 4 lat górować będzie nad warszawskim jakością aparatury i warunkami studyjnymi. Logiczną byłaby więc decyzja przetrucenia na Łódź realizacji części programu ogólnopolskiego. Niestety, wszelkie znaki na niebie i ziemi mówią o czymś zupełnie przeciwnym.

Każdy telewidz warszawski wie, że odbiór Łodzi jest w Warszawie nie gorszy, a często znacznie lepszy niż

stacji warszawskiej. Niemniej zmusza się telewidzów Łodzi i Gdańska do oglądania szarych, nieczytelnych filmów z telekina warszawskiego, choć Łódź obsłużyła by Warszawę i Gdańsk z większym powodzeniem.

Ośrodek Łódzki nadał szereg dobrych inscenizacji i przeniesień z teatrów. „Żywot Józefa” i „Kram z piosenkami” w wykonaniu artystów Teatru Nowego były cennymi widowiskami dla odbiorców całej Polski. Niestety, szanse kontynuowania takich programów są dla Łodzi nikome.

Ośrodek Łódzki zyskał sobie przychylną opinię telewidzów, jeśli idzie o koncerty rozrywkowe. W tej chwili Ośrodek Warszawski przejął „brzemie” nadawania programu rozrywkowego na siebie. Łódź nada w marcu tylko jeden koncert.

Program publicystyczny łódzki jest z reguły niedopuszczany do programu ogólnopolskiego. Warszawa ma dwa wzy transmisyjne. Łódź wozu nie ma. Ale nawet możliwość przygotowania programu studyjnego w oparciu o materiały filmowe jest w nader rzadkich wypadkach brana pod uwagę przez warszawską redakcję publicystyczną.

Co więcej — coraz częściej przyjeżdża ktoś z Warszawy, kto się nie zmieścił w tamtejszym studio i stąd nadaje własny program. Tak więc 27 lutego pracownicy Telewizji Warszawskiej nadali z Łodzi quiz pod zupełnie niewarszawskim tytułem: „Kreć się kreć, wrzecziono”, z absolutnie łódzką tematyką. 7 marca pracownicy Telewizji Warszawskiej nadali reportaż z okazji Dnia Kobiety. Wtajemniczeni twierdzą, że wizyty takie będą częstsze.

Cóż — goście mile widziani. Tak mile, że można nawet zapomnieć o tych przysłowiowych gościach, co to są „chuże Tatarina”. Ale czy istnieją argumenty, które mogłyby uzasadnić, dlaczego programy powyższe, lub im podobne, muszą z Łodzi prowadzić pracownicy Telewizji Warszawskiej, a nie Łódzkiej?

Ciekawe bywały wizyty w łódzkiej redakcji koordynacji programu.

Oto wbiega zdenerwowany redaktor i protestuje przeciwko kolejnej trzeciej zmianie godziny nadania jego jutrzejszego programu. Przecież on zaangażował ludzi z miasta, ustalił z nimi godzinę 18.30. Wczoraj zmieniono na 18, a dziś na 17.10. Ileż razy itd. itp.

Przyczyna nie jest trudna do wykrucia.

Telewizje całego świata wydają tygodniki poświęcone programowi na najbliższy tydzień. I podają wiążący program, a nawet szerokie omówienie poszczególnych pozycji, zwykle ze zdjęciami osób czy sytuacji. Nasze „Radio i Telewizja” może sobie pozwolić tylko na recenzje ex post. Projektowany program ulega zmianom aż do dnia poprzedzającego nadanie. I wreszcie — konia z rzędem temu, kto wskaże dzień, kiedy nadano program bez opóźnienia.

Stąd program lokalny, czasowo skromny (bo pieniądze też idą ze stolicy) skraca się, zmienia i przesuwa w zależności od tego, jakie wichry miotają programem warszawskim.

Czytelnik domyśla się zapewne, że wydarcie powyższej informacji z Telewizji nie było rzeczą łatwą. Trud ten wydał się nam konieczny z dwóch względów. Pierwszy — to wzgląd na telewidza. Łatwiej mu będzie cierpieć, jeśli do częstych mankamentów programu dobierze sobie odpowiednią przyczynę. Wzgląd drugi — to interes miasta.

Wątpić należy, czy dla tego, co się ogólnie określa mianem „miasto”, tj. dla jego ludności, władz i spraw może być obojętną pozycja Telewizji Łódzkiej w kraju. Miasto nasze nie jest wysypką odizolowaną od tego, co się dzieje w Polsce. Mamy swoje bogate życie kulturalne i naukowe. Jesteśmy terenem, na którym urzeczywistniają się myśli, rzucone z najwyższych trybun państwowych. Przemysł nasz ma swoje osiągnięcia i doświadczenia, o których mamy prawo i obowiązek mówić, dzielić się, pokazywać.

Środkiem przeprowadzenia tej rozmowy z krajem musi być Telewizja.

LEOPOLD BECK

Nie żart prima aprilisowy lecz sprawozdanie z procesu pisane z poczuciem odpowiedzialności

W dniu dzisiejszym w sali Powiatowego Sądu Ostatecznego rozpoczął się długi oczekiwany proces przeciwko Dorocie Iks i Stanisławowi Ygrek.

Dorota Iks oskarżona jest o to, że składanka pt. „Humor i Ojczyzna”, wystawiana przez Teatr „7.15” przypada jej do gustu. Stanisław Ygrek zaś o to, że to samo nie przypało mu do gustu. Oskarżonych broni niejaki Le-Be, indywiduum bez zajęcia i bez stałego miejsca zamieszkania.

Punktualnie, bo już o 7.15, przewodniczący otwiera rozprawę. Przy stwierdzeniu personaliów oskarżonych okazuje się, że Dorota Iks ma dopiero 25 lat (bez niedziel i świąt), a Ygrek 30. Z za-

wodu jest on kierownikiem artystycznym Zakładu Oczyszczania Miasta. Dorota Iks zaś słuchaczką Polskiego Radia.

Iks przyznaje się do winy. Jednak w ogniu pytań zmuszona jest również do przyznania się, iż spektakl „Humor i Ojczyzna” był pierwszym przedstawieniem teatralnym w jej życiu. Prokurator protestuje przeciwko użyciu w protokole słowa „teatralny” i wnosi by protokołowano wyłącznie „przedstawienie”. Po krótkiej naradzie z samym sobą, przewodniczący przychylił się do wniosku oskarżyciela.

Z dalszych zeznań Doroty Iks wynika, iż bawiła się ona na spektaklu znakomicie i oklaskiwała gorliwie aktorów. Chcąc wydobyc obojętnej lagodzącej, obrońca przerywa oskarżonej w ten oto dramatyczny sposób:

— Czy aby oskarżona nie działała pod wpływem masowej sugestii... ponieważ cała sala biła brawo...?

Prokurator protestuje przeciwko protokołowaniu słowa „masowa”, oświadczając, iż Teatr „7.15” ma tylko 500 miejsc: Zaprotokolowano sugestie — bezmasowa.

Dorota Iks mówi, iż działała w dobrej wierze. I tu następuje jeden z najbardziej emocjonujących momentów rozprawy. Podnieconym głosem, w sposób melodramatyczny oskarżona recytuje nazwiska autorów poszczególnych numerów składanki: Minkiewicz, Gozdawa i Stepien, Fijas, Piechal, Sikirycki, Mrozek, Wiktorczyk, Boroński.

Na pytanie przewodniczącego, które numery przypały oskarżonej najbardziej do gustu — Dorota, błada, lecz stanowcza, odpowiada bez zająknięcia: — „Krzyżak” w wykonaniu Bronisława Darskiego i „Kram z piosenkami” w wykonaniu Jadwigi Andrzejewskiej.

W dalszym ciągu rozprawy zeznaje, drząc na całym

ciele, oskarżony Ygrek. Przy znać się do winy, ale nie zgadza się na zakwalifikowanie jego czynu (szyderczy uśmiech podczas całego spektaklu i zaniechanie braw) jako karygodnego.

Oświadcza on, iż spektakl robił na nim wrażenie przypadkowego zestawienia numerów według systemu „kto co umie”, bez klamry wiążącej i bez uwzględnienia, kto co naprawdę umie, czyli z rażącościami omyłkami w obsadzie. Zauważył blackout, który rozrósł się na scenie „7.15” bez innej potrzeby jak z potrzeby wypełnienia czasu do rozmiaru finału, zauważył awans sceniczny anegdoty do rangi skeczu — ze szkodą dla sceny, aktorów i teatru.

— W programie — ciągnie oskarżony — jest absolutny brak piosenki. Próźnię tę podkreślają występy piosenki honoris causa. W porównaniu ze spektaklami tegoż teatru „Wio, dywaniku” i „Uwaga kręcimy” — obecne przedstawienie jest krokiem wstecz.

Przyparty do muru przez herkulesowego woźnego sądu Ygrek przyznaje jednak że w porównaniu ze spektaklem „Mamy gości” a „Humor i Ojczyzna” oznacza krok naprzód.

Po przemówieniu stron i dwugodzinnej naradzie — sąd ogłosił wyrok, orzekając, iż obecnemu dyrektorowi Teatru Nowego słusznie przyznano dyrektację przyszłego Teatru Narodowego w Łodzi.

KOMUNIKAT Wojewódzkiej Rady Narodowej

Wojewódzka Rada Narodowa w Łodzi w celu zapewnienia szerokiego wkładu Ziemi Łódzkiej i jej twórców w dzieło pomnożenia ogólnopolskiego dorobku naukowego i kulturalnego oraz dla upowszechnienia i wyrośnięcia szczególnie wybitnych dzieł i osiągnięć twórczych — uchwała z dnia 23 czerwca 1959 r. ustanowiła:

1. Nagrodę Województwa Łódzkiego w dziedzinie nauki,
2. Nagrodę Województwa Łódzkiego w dziedzinie twórczości artystycznej,
3. Nagrodę Województwa Łódzkiego za społeczną działalność kulturalno-osiwiatową,
4. Nagrody Województwa Łódzkiego w dziedzinie twórczości ludowej.

Wysokość każdej nagrody wynosi 20.000 zł.

Nagrody Województwa Łódzkiego przynajmniej corocznie osobom indywidualnym lub zespołom osób za szczególnie wybitne osiągnięcia w określonej dla każdej nagrody dziedzinie w ciągu ostatnich trzech lat lub za całokształt twórczości.

W związku z tym Komisja Nagród podaje do wiadomości, że przyjmuje zgłoszenia kandydatów wraz z uzasadnionymi wnioskami o nagrodzenie — w terminie do dnia 10 maja 1960 r.

Regulamin Nagród Województwa Łódzkiego znajduje się w Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi.

SEKRETARIAT KOMISJI NAGRÓD

str 8 **odgłosy**

Władysław Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

XIV.

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego” rozgrywa się w XVII-wiecznej Polsce. Rządy króla Jana Kazimierza znajdują się w nieustannym zagrożeniu — to ze strony wrogów zewnętrznych, to ze strony warcholskiej szlachty i magnatów. Oto właśnie doszło do starcia między braćmi paniami Radziejowskiej — z którą romanseje król Jan Kazimierz — a jej mężem podkanclerzem Radziejowskim. Wyrokiem Sądu Marszałkowskiego Radziejowski skazany zostaje na śmierć, wieczną banicję i konfiskatę majątku...

— Infamis poszukują ludzkie podskarbiego litewskiego i jego brata — żywo relacjonował przybyły szlachcic. — Pełno ich na tutejszych drogach. Za mną jedzie z dziesięciu. Wyprzedziłem ich, żeby miejsce przy kominie zająć, bom przemarzł na kość.

Zakotłowały się wypchnięte skrzydła okienne, dzwignęły obluźwane szyby. Jaworski podał rękę panu, pomógł wejść na ławę i skończył za nim na kupę zmarzniętego gnoju pod oknem.

Na drodze zaturlotała kolaska. Furman pochylony na koźle do tyłu ścigał lejące hamujące rozperzone kasztanki.

— Do Radziejowic! — dygotał zaspany podkanclerzy biegnąc przez wydmy wysychającego śniegu.

— Do Radziejowic! — zwłóteczymy starczo głosem zaskrzypiał Jaworski na furmana. — Zawracaj, błaznie! — na stopień wskoczył w biegu i zajął miejsce przy panu w kolascie.

Pojazd zatoczył kolo i posuwał się z turkotem po wyboistym trakcie w kierunku lasu. Jaworski zajął w kwadratowe okienko w tylnej ścianie pudła. Na uciekającej drodze było pusto. Kolaska wjechała na leśną drogę. Nisko zwisające gałęzie świerków szorowały dach. Jaworski przestał zaglądać w okienko. Siedział sztywno patrząc prosto przed siebie, unikając widoku pana. Bardziej niż pański dyshonor bolała go hańba, jaka spadła na dom Radziejowskich, którym służył wiernie od czterdziestu lat, od czasu, gdy znużyła się mu praca susceptanta u regenta w kancelarii grodowej i stary wojewoda wziął go na swój dwór w poczet dworzan rektadajnych. Stary pan Stanisław (światłość wiekiusia niechaj mu świeci!) otrzymał właśnie czterdzieste lat temu godność wojewody leżycyckiego i z wdzięczającą faworem królewskim zaczął rosnąć ze szlachcica w pana, Król Zygmunt Trzeci z żoną kilka razy przekraczali wojewódzkie progi. Królowa Konstancja nigdzie nie zażywała z większą przyjemnością kąpiel jak w radziejowickich łaźniach. Syn ich Władysław Czwarty zaraz po elekcji zjechał na chrzciny do Radziejowic stawiając

za warunek swego przybycia, że starszego syna wojewody, Hieronima, otrzyma do pokojów królewskich jako dworzana. Co zostało z tej świetnej przeszłości?

W rogu kolasy kołysała się z nieregularnym chybotem pojadu głowa podkanclerzego z przekrzywioną futrzaną czapką, poradłone zmarszczkami czoła, wychudła, mizerna twarz, sine, obwisłe woreczki pod oczami, potargane włosy, cień człowieka zmarłego śmiercią cywilną. Każdy miał prawo zabić bezkarnie infamisa i banitę, skazanego na wygnanie z kraju! Każdy starosta grodowy, mający prawo miecza, mógł pojąć i ścigać infamisa i banitę. Na myśl o tym Jaworski poczuł dreszcz mrowiący się wzdłuż kręgosłupa. Pan jego, podkanclerzy Radziejowski nie był już teraz nawet szlachcicem, gdyż przez banicję nastąpiła utrata szlachectwa i śmierć cywilna. Gałęzie obmotały dach pudła chrobocząc jak spadające na trumnę grudy i bryły ziemi. Śmierć cywilna. Trup.

Kątem oczu zerknął na podkanclerzego. Głowa w przekrzywionej futrzanej czapce kołysała się bezwładnie spoczywając na oparciu siedzenia, w lewo, w prawo. W szparkach niedomkniętych oczu połyskiwały szkliste białka. Powieki uniosły się i podkanclerzy spojrzeli wspólnie na spojrzenie sługi. Jaworski ujrzał zdziżale oczy pana, który jakby oprzytomniał i zawstydziwszy się chwili słabości, z którą się zdradził przed starym sługą, zaczął nań fukać: — Co tak patrzysz, dziadygo? — uniosł głowę. — Co tak patrzysz?

Z przynębienia ratował się ucieczką do samowładztwa. — Tutaj! — przez turkot kół na grudzie przeplatał się szyderczy śmiech, z początku cichy, potem coraz głośniejszy. — Tutaj, dziadygo, patrz! — podkanclerzy podsunął totumfackiemu pod nos tlok pieczętny do odciskania pieczęci mniejszej koronnej, wyobrażającej orła polskiego na tarczy z aniołami i z koroną u góry. — Póki to u mnie — tryumfował — połowa Rzeczypospolitej w moim ręku!

Starzec cofnął głowę, dalej i wyżej, czaszką dotknął ściany trzęsącego się na wybojach pudła. Podkanclerzy podsunął mu pod nos, jak do powachania, tlok pieczętny. — Połowa Rzeczypospolitej — rechotał z pustą chępliwością.

Po czterech godzinach jazdy ukazał się wadół, pagórek i ogromna karczma w Radziejowicach ze stajnią na dwieście koni. Z mroku zaczęły wynurzać się zwierzynię, zabudowania dworskie, mieluch, ogród i pałac z bielejącymi w ciemności kolumnami.

Hieronim Radziejowski wyskoczył z kolaski. Najwierniejsi z wiernych Kasper Czapla i Maciej Kierz czekali z latarniami przed pałacem, cichym, jakby wymarłym.

— Kierz? Czapla? Gdzie reszta? — od złych przeczuć osłabił schrypły głos podkanclerzego. — Gadać! — krzyknął na milczących dworzan.

Czapla wzniosł latarnię. Cienie poruszyły się na brukowanym polnym kamieniami podjeździe. — Nakazano w imieniu króla przyjacielom i domownikom pana Radziejowskiego — oznaj-

mił z determinacją — żeby od niego odstąpili jako od banity, jeżeli nie chcą surowości prawa doświadczyć. Został ino książę dobrodziej i czeladź.

Butnym krokiem ruszył pan Radziejowski do pałacu. — Wieczera! — zaklaskał w ręce.

— Od trzech dni ogień pod kominem w Radziejowicach nie wygasa — Kierz pokłonił się nisko.

— Wiernym sługom sowi ta zapłata! — pan Radziejowski zaklaskał w ręce po raz drugi. — Z piwnicy hiszpańskiego Alicantu na stół wynieść!

W czasie wieczery własnoręcznie dolewał dworza-

Radziejowski z totumfackiego. — Ty się znasz na prawie.

— Król Kazimierz Wielki wydał takie prawo — skrzypiał upartym głosem Jaworski — które dozwala zdać się pod opiekę niektórych senatorów i prosić o glejt czyli żelazny list w celu pokazania swej niewinności.

Podkanclerzy wychylił pucharek do dna, wlał jego zawartość do gardła jednym ruchem dłoni i opuścił bezwładnie ramię na stół. Wsparty ramieniem zawiesił ze zwieszoną głową nad stołem i dyszał długo, ciężko, pracowicie.

— Jaworski!

Wiatr łomotał w szyby i grzechotał na dachu nadwierzonymi gontami.

Obaj poddani chłopskiego stanu zostali przypuszczeni do herbu Radziejowskich — Junosza (baran w tarczy i półkocioł w koronie) i uprawnieni do używania nazwisk szlacheckich Czaplńskich i Kierzkowskich.

Kroki podkanclerzego i dworzan dudniły w sali balowej z pustą galerijką pod sufitem, gdzie stały pulpity z nutami, jak gdyby muzykanci dopiero co wyszli. — Mam przyjaciół na sejmie — pan Radziejowski zatrzymał się na środku sali z prostokątami księżycowego światła na pawimencie z debowych, misternie wiązanych klepek. — Pan podkanclerzy sandomierski Dębicki — wypowiedział słowa, które nie mogły nic zmienić i czuł, jak uchodzi zeń siła. — I pan młecznik Tomasz Zamoyński.

Wszyscy trzej, Jaworski, Czapla i Kierz, słuchali poważni i smutni.

— Pan Dębicki i pan Zamoyński przemówią na sejmie w mojej sprawie — dodawał otuchy sobie i „wrażanom. Lecz siła uchodziła, a z nią — życie. Z tłumy czeladzi dworskiej pozostała tylko garstka, i to bardziej ze strachu (król daleko, cięż-

nia naszej wolności odwołują się...”

Niemiecki żal przeszył serce. Oczami zamglonymi od łez podkanclerzy spozierał w górę.

— „Jako brat wasz ze krwi, towarzysz w godności świadcząc się Bogiem i ku Njemu ręce i oczy podnosząc...”

Pióro zawiśnię nad pergaminem. Pan Radziejowski zmarszczył czoło. Patrzał na siebie z dystansu jak na kogoś obcego i zastanawiał się, zdjęty niepokojem, gniewem, rozdrażnieniem, a wreszcie, wściekłością, jakich obrotów i sposobów zażył podstępny los, żeby tak wielkiego dostojnika i pana obalić, i z podkanclerzego uczynić infamisa i banitę, pozbawionego władzy, znaczenia, dostatków? Gdzie dno ludzkiego upadku? Gdzie ostoja i kotwica w morzu płynącego czasu? Gdzie ład, na którym można stanąć bezpieczną stopą? Za oknem stróż nocny klekotał wytrwale kołatką. W sąsiednich pokojach chrapali dworzanie. Zasnęli jak apostołowie w Ogrójcu, którzy opuścili Jezusa Chrystusa Pana swojego, rozmyślał, nachylając się nad listem.

— „Jeśli winien zdrady kraju, obrazy Majestatu, niech mnie sędzi cała Rzeczpospolita, a wszelką karę gotów jestem ponieść, gdy winnym zostanie uznany. Przeciwnie, jeśli zgnębiony spiskiem nieprzyjaciół, zaradzić przez miłość ojczyzny, podajcie rękę, wyrwijcie zaskórnego obywatela z ochłani. Obudźcie się, bracia najukochańsi, widząc, że się bliski dach pali, pomyślcie, że się to i z wami stanie, co się dziś ze mną dzieje, i pomiędzy publicznymi sprawami zaliczcie moje, zaiste nie prywatne nieszczęście!”

— Przyszli! — Nazajutrz z pana Jaworski obudził podkanclerzego. Pan Radziejowski wstał niewyspany, z twarzą bladą i zmęczoną. Na zapadłych policzkach srebrzył się szczeniowaty zarost. Posiwił przez jedną noc? Jaworski zwarł szczękę, nastroszył brwi, pod skórą na policzkach przebiegło nerwowe drgnienie.

W oknach czaili się Kierzkowski i Czaplński z łufami rusznic wełkniętymi w szpary okienne i wycelowanymi w podwórce. Przy bramie stała wyczekująca gromadka ludzi królewskich. Jeden z nich machał arkuszem papieru jak chustką i wykrzykiwał coś, czego nie można było dosłyszeć.

— Pal! — dygotał jak w febrze rozkazał podkanclerzy. — W imię Boże, pal!

Błysnął ogień. Dwa jednoczesne wystrzały odbiły się przeraźliwym hukiem w pałacu. Gabinet wypełnił się zapachem prochowego dymu. Jeden z królewskich ludzi przy bramie zachwiał się, zatrzepotał rękami. Gromadka pierzchała wprowadzając rannego.

— Deus omnipotens! — podkanclerzy położył na sobie znak krzyża. — Będą mieli nauczkę.

Przez cały dzień pisał listy, repliki, odwołania, ekspedycje i skrutynia, które przy pomocy Jaworskiego rozsyłał przez umyślnych gońców do Piotrkowa i do stolicy.

O północy, przy zachowaniu ostrożności i ciszy, wytoczono z wozowni karetę, do której zaprzężono dwie pary mocnych koni polskich. Karoca w asystencji trzech jeźdźców odjechała boczną drogą za pałacem w niewiadomym kierunku.

D. e. n.



Rys. Tadeusz Kokietek

nom wina do pucharów. — Pijcie — zachęcał podniecony, rozmowny, serdeczny. — I zapamiętajcie wieczór, kiedy pan wiernym sługom dolewał do kielichów. Pij, dziadygo! — z kostyczną serdecznością tracił pucharzem o puchar Jaworskiego.

— Dawne stare prawo w Statucie Wiślickim — były susceptant z kancelarii grodowej odrzebał w pamięci czterastowieczny przepiór i podawał zrzędnie do wiadomości pana — pozwala szukać obrony obywatelom zmuszonym uciekać z kraju.

— Ba, tyś sławny jurzysta! — natrzasał się pan

— Słucham, jasnie panie! — Pójdiesz do kapelana, obudzisz, przyprowadzisz do kaplicy.

Kasper Czapla i Maciej Kierz położyli palce na krucyfiksie. Książę kapelan odbierał przysięgę na wierność według rotty ułożonej przez pana Radziejowskiego:

— „wobec Boga i ludzi, tu i wszędzie na każdym miejscu i o każdej godzinie...”
— Echo pod mrocznym sklepieniem kaplicy powtarzało słowa przysięgi. — „być posłusznym i wiernym do ostatniego tchu panu mojemu. Tak mi dopomóż, Boże, i święta Męko Jego!”

ka ręka pańska blisko) niż z przywłapania. Trzech milczących dworzan towarzyszyło panu w drodze przez ciemny i pusty pałac.

Rozlokowali się na nocleg w pokojach sąsiadujących z gabinetem. Stróż nocny miał nakazane klekotać bez przerwy kołatką, żeby słychać było, że czuwa.

„Do szlachty polskiej. JW Panowie, bracia najukochańsi!” — przed udaniem się na spoczynek podkanclerzy zaczął układać list otwarty do sejmu. „Przywołany mianowicie wrogów, waszego posłuchania błagam i do was, jako do ostatniego schronie-

Televizja

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed wszystkim pozwól Pan, że się przedstawię, nazywam się Zofia Andrzejewska i jestem jedną z laureatek konkursu na postać telewizyjną — „Magdą”.
Chciałabym Panu serdecznie podziękować za zainteresowanie się, po dość długim czasie, konkursem i jego wynikami, ale przed tym może Pan posłuchać:
Po finale wzruszeni i zdenerwowani pierwszym występem przed kamerą usłyszeliśmy, że Łódzki Ośrodek Telewizyjny jest zachwycony wynikiem konkursu, dla części finalistów ma już konkretne propozycje itd. itd.

Czy nie należałoby pomyśleć o eksporcie stów — tego artykułu, którego mamy aż za dużo, którego produkcja jest prosta, bezpieczna i do niczego nie zobowiązuje mówiącego? Ze ktoś chciałby w nie wierzyć? — trudno, sam sobie jest winien — nawiązań nie sięją. Z chwilą rozdania nagród — skończyła się działalność komisja konkursowa. Łódzki Ośrodek Telewizyjny zapisał sobie konkurs jako jedno z osiągnięć i na tym skończyły się kontakty z laureatami.

Nastąpiły długie miesiące ciszy, przerywane pytaniami znajomych: „Kiedy znów wystąpi?” Kto to mógł dać odpowiedź? I nagle: listopad! Bazar, magazyn, który miał najprawdopodobniej spełnić dwie role: pokazać jak bardzo telewizja dba o lokalnego widza i pokazać wreszcie postacie telewizyjne. Niestety, dwa gryzby w barszcz to za dużo. Z niespotykaną zgodnością prasa łódzka wieszała recenzyjne psy na Bazarze w ogóle, a postaciach telewizyjnych w szczególności. Okazało się, że wyniki konkursu są nieudane, a teksty to najczystsza amatorszczyzna. Przepraszam!

Czy w telewizji, jeśli się nie obraża królowej, można mówić wszystko co się chce, czy tych tekstów nie przedtem nie czytał, czy nie było prób, podcas których można by się zastanowić, czy to czasem nie chała? A może dużym błędem jest łączenie w składankę wszystkich laureatów? Mam wrażenie, że nad tym nie zastanowiono się nawet po skrytykowaniu Bazaru.

Przez cały ten czas, z przerwą na Bazar, nikomu nie przyszło na myśl zainteresować się „postaciami” spróbować czy z tej małej nie byłoby ciekawia. Ja nie usiłuję wystąpić przed kamerą chociaż jeszcze raz w życiu — nie mam już złudzeń co do szerokiej możliwości konkursowo nabywanych.

Chciałabym tylko, jeśli już musi Pan o tym konkursie pisać, żeby Pan dowiedział się trochę o jego historii i nie stwierdzał zupełnie nieodpowiedzialnie nieistniejących faktów. Gdy jednak ta zabawa, jeśli Pan woli, zakończyła się fiaskiem, czy nie należałoby się zastanowić czy to na pewno wina postaci telewizyjnych? Myślenie ma podobno kolosalną przyszłość, Panie Redaktorze.

Zaproponować nie wolno!

Zrobimy porządek ze speakerkami

Sam będąc wyrwałymi telewidzami, mamy prawo narzekać na to, że zapowiedzi naszych speakerów są monotonne i jednolite od strony wizualnej. Pozwalamy sobie przeto podsunąć kilka pomysłów co do plastycznej strony zapowiedzi poszczególnych audycji.

Przywitanie



Telewizja śląska nadała już na przykład audycje poranne. Proponujemy witać się z telewidzami — włączając przy tym komentarz polityczny — w pozycji wskazującej na lekka zadumę i umiętnie tuszowane znużenie.

Reportaż z terenu



Reportaż z terenu — na przykład z niedzielnego powitania w Gdyni eskadry pancerników perskich — należy stanowczo przeprowadzić w stroju dostosowanym do otoczenia. Speakerka czy reporterka telewizyjna powinna pozostać niezauważona i nie wyróżniać się niczym specjalnym.

Zapowiedź audycji poświęconej problematyce rolnej powinna przyciągnąć do telewizora nawet zatwardziałych mieszczuchów, którzy wsi nie lubią i dla których silosowanie jest sorawa równie tajemnicza jak rachunek całkowity.

Audycja rolna



Życie nocne

Życie nocne to również biała, niezapisana karta w naszym programie kabaretowym. A przecież kiedyś zaczęliśmy robić sorawodzenia z kabaretów, klubów młodzieżowych, świetlic szkolnych i temu podobnych miejsc wyzwanie się narodu. Właściwy poziom audycji będzie wówczas zależał nie tyle od elokwencji speakerki, ile od jej kształtów.



Pożegnanie z telewidzem

Pożegnanie z telewidzem — to sprawa najważniejsza. Widz musi śnić przez całą noc o naszym programie i musza to być miłe sny, bez miejsca na ocoł, żółł i gorzyc.
Nasuwają się tu szereg propozycji, w których przedyskutowaniu redakcja telewizyjnej kolumny „Od głosów” chętnie wzięnie udział — na przykład ta, na zdjęciu obok (a mamy i ze dwie inne).



Nasze nadzieje

Znając słabości kolegów pozycje zostają przez nich z ulicy Sienkiewicza mamy nadzieję, że nasze propozycje zostaną przez nich rozwinięte, a może nawet tu i ówdzie zaakraglone.



Zawodowe zamiatowanie

W tym tygodniu radzimy obejrzeć (się)

...za jakimś rasowym kociakiem, a nie tylko gapić się całymi wieczorami na telewizor. Wiosna, proszę państwa, wiosna i trzeba ją — na litość Boską — godziwie wykorzystać.

W ogóle proponujemy Telewizji, aby jakaś urodziwa speakerka (może być Edytka) mówiła na otwarcie programu: — Człowieku, bądź mądry, wyłącz ten interes i idź na spacer... — po czym nakładala kapelusz i też wychodziła.



KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu gościł w naszym mieście rewelacyjny pianista meksykański Michel Block. Artysta, który jak wiadomo był faworytem warszawskiej publiczności w czasie konkursu chopinowskiego, wykonał II Koncert Rachmaninowa.

Kultura na Bałutach

Na Bałutach mieszka około 120 tys. ludzi. To stwierdzenie zaczyna być niepokojące, jeśli zważymy, że jedyna bałucka placówka kulturalna — Bałucki Dom Kultury dysponuje ni mniej ni więcej tylko... pięcioma pokojami.
Jak się dowiadujemy, Obyśmy się nie pomylili.

Sukces łódzkich studentów

Jak już wiadomo z prasy codziennej studenci łódzkiej humanistyki odnieśli na Ogólnopolskim Zjeździe Studentekich Kół i aukcyjnych w Poznaniu godny uwagi sukces. Na 16 delegowanych na zjazd osób niemal wszyscy zostali nagrodzeni. A więc: pierwszą nagrodę otrzymała praca zbiorowa studentów sekcji językowej Wydziału Filologii. Tematem pracy był przegląd nazw ulic, dzielnic i placów Łodzi. Właśnie to opracowanie otrzymało pierwszą nagrodę Ministerstwa Szkół Wyższych.



Świetnie zaprezentowali się również historycy. Dwaj studenci IV roku Wydziału Historii — J. Ojrzyński i W. Grabski otrzymali nagrody drugie. Najwięcej pochwał zebrata praca Grabskiego na temat: „Idea monarchii w literaturze politycznej czasów saskich”.

Książka angielska w Polsce

W księgarni zagranicznej przy ul. Piotrkowskiej raj dla amatorów angielskiej literatury! „Dom Książki” zawarł bowiem umowę z londyńską firmą „Longmans” i wystawił w kilku miastach Polski, m. in. w Łodzi ciekawsze pozycje tego Wydawnictwa.

Umożliwia zresztą nie ograniczyła się jedynie do wystawienia. Już w tej chwili około 70 proc. nadstawionych książek zostało bądź zamówionych bądź sprzedanych.

Najpopularniejszy jest Van Gogh

To stwierdzenie sympatycznej pani z łódzkiego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki mówi bardzo wiele i bardzo pochlebnie o kulturze plastycznej łódzian. Jest bowiem reprodukcje obrazu Van Gogha, Utrilla, Degasa — wędrujące do łódzkich mieszkań liczyć można w setki oznacza to na pewno jakiś spadek popularności „reprodukcje malowanych” makatek, widoczków itp. szmiry.

Odbiorca zaczyna wreszcie rozumować poprawnie — „lepiej mieć w domu niedrogą reprodukcję Van Gogha niż drogi falsyfikat Kossaka”. I słusznie.

Zwłaszcza iż znany jest kunszt poligraficzny takich świetnych firm jak na przykład lipska VEB E. A. SEEMANN. A właśnie ona zaopatruje klub w reprodukcje obok producentów szwajcarskich i francuskich.

Na zakończenie ciekawostka. Łódzianie najchętniej kupują obrazy o niezbyt dużych rozmiarach. Zapewne ze względu na ich małe mieszkania i... nie bardzo zasobne kieszenie.

Z obrad Kom. Kulturalnej

Komisja Kultury Prezydium Rady Narodowej Łodzi miała na ostatnim posiedzeniu trudny orzech do zgrzylenia. Chodziło o obsadzenie stanowiska dyrektora Teatru Narodowego. Dyrektorem został Kazimierz Dejmek z tym jednakże, iż mianowano go również kierownikiem artystycznym Opery Łódzkiej. Natomiast dyrektorzy Nawięcka i Sykala pokierują wspólnie Teatrem Nowym który korzystał będzie z sali Teatru Narodowego we wszystkie piątki i środy miesiący parzystych.

Czwartki i poniedziałki miesięcy nieparzystych podziela między sobą Teatr Jaracza i Teatr 7.15. Jeśli Centralny Zarząd Teatru wyrazi zgodę planuje się również oddanie każdej piątki soboty miesięca do dyspozycji Okręgowego Zarządu Kin. Gdyby to nie wystarczało, salę Teatru udostępni się bądź organizatorom koncertów z Januszem Gniatkowskim i Bogusławem Wyrobkiem, bądź Polskiemu Związkowi Bokserskiemu.

Łódzki BIGOS HISTORYCZNY



(Polowanie pierwsze: — „Dziennik Łódzki — pismo handlowe i literackie”, rok 1885 m-cie I — VI. Trafion nry — 1, 4, 20, 23, 28, 96, 112, 116).

„CICHO ŚPIJ”... w TEATRZE POLSKIM W ŁODZI

Dziś w Teatrze Polskim danem będzie przedstawienie nader urozmaicone... Odegrane będą dwie krotkoczwile ze śpiewami. — „Nowy Rok” Jasińskiego i „Sto za sto” — wodewil francuski. W antraktach odśpiewana p. Micińska aryę z Ernaniego a p. Bandrowski wykona serenadę Abta pt. „Cicho śpij”... Jak widzimy wieczór zapowiada się wca- za sto” — wodewil fran- le interesująco.

SZCZEROŚĆ GRACZA

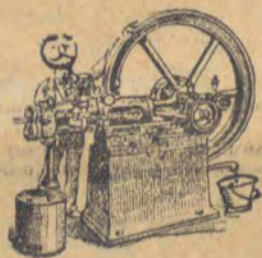
W twierdzy Aleksandro- rządu. Przed śmiercią na- polu, na Kaukazie zastrze- kreślił samobójca następują- nił się komisarz policyjny Ig- ce słowa: „Zylem, gralem w natowski, roztrwonniejszy karty i dlatego umieram. Umarli się nie wstydzą”.

AFISZ TEATRALNY

Teatr Victoria pod dyrek- w 3-eh aktach z tańcami, cją Józefa Textla daje w oryginalnie napisana przez piątek dnia 30 stycznia 1885 J. N. Kamińskiego, muzyka r., po połowie ceny. SMO- Kurpińskiego. CZA JAMA. Opera ludowa

KRONIKA WYNALEZKÓW I ULEPSZEN W TECHNICIE Z UWZGLĘDNIENIEM MIEJSCOWEGO PRZEMYSŁU

„Rzecz idzie o oczyszczanie wód odpływowych, wypłuczyn z fabryk w ogóle. Ogromna masa wypłuczyn odpływa rzeką Łódka, zamieniając ją w wielki rynsztok. Inne wypłuczyny płyną kolorowo rynsztokami przez miasto rozlewając się po gruntach leżących w zachodniej stronie... Zglebiwszy przyczyny szkodliwości — podajemy następujące sposoby oczyszczania: osadzenie zawieszonych substancji przepuszczeniem wody przez szereg płaskich zbiorników (odstojników) umieszczonych jeden nad drugim, dalej filtrowanie wód z dod. mleka wapiennego



przez koks i piasek. Wody po takim oczyszczeniu pozbywają się wszelkiego zapachu i mogą być już bez obawy wpuszczane w rzeki, strumienie i stawy...”

PIERWSZE W ŁODZI OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE!

OGŁOSZENIA WRODNE

ORGESIE ziemi niedaleko Łodzi, blisko lasu i oleju sprzącz y pisen Ogłosz

DOV ro”



KOMUNIKACJA POCZTOWA

Na trasie kaliszko-koniń- pomiędzy Łęczycą a Kut- skim, na stacji Rychwał za- nem jest nadal przez władze prowadzone być mają do- wzbронione, natomiast krą- godniejsze niż dotąd karety, żyć będą do Kutna z Łęczy- pojazdzy i bryczki. Kursowa- cy Kurierki pocztowe, za- nie omniбусów prywatnych oplatą 50 kop, za wiorst 20.

NOWY DWORZEC W KOLUSZKACH!

Dla wspólnego użytku ko- le pasażerskie i biura, po- le wiedeńskiej i łódzkiej obecnie otworzył już swoje podwoje pasażerom. Dwor- zec ten jest drewniany, lecz posiada znacznie wygod- niejsze od poprzedniego sa- le pasażerskie i biura, po- nieważ znajduje się w po- bliżu starego, powstał więc projekt przerobienia po- przedniego dworca na dom mieszkalny dla urzędników kolejowych.

OGŁOSZENIA DROBNE...

Potrzebne jest MLEKO do mości w Redakcji tego pi- wydzierżawienia, od 40 do ma, 50 garncy dziennie. Wiado-

Najostrzejsze ołówki świata

GILL FOX

Ogromna część czytelników polskiej prasy zaczyna lekturę gazety od wiadomości sportowych. Brytyjczycy — od prognozy pogody. Amerykanie zaś — od żartów rysunkowych, dopiero później przeglądają notowania giełdowe.

Oto przyczyna, dla której tak bardzo rozwinął się w USA humor obrazkowy. Nie wiele jest tam pism, włączając w to nawet fachowe miesięczniki, które by ten dział pomijały. Stąd wynikło bogactwo form żartu, wyspecjalizowa-

nie karykaturzystów w różnych typach humoru, tematach, etc. Stąd też — narodził się pomysł tworzenia całych cyklów: codziennie lub co tydzień, w tym samym miejscu gazety ukazuje się kolejny żart tego samego rysownika — z tym samym bohaterem. Może być nim ksiądz, zakonniczek, kociak, laskaj lub złodziejaszek — ważne jest jedno — by cykl żartów trwał dostatecznie długo, by czytelnicy mogli się przyzwyczaić i polubić swojego bohatera. Przeważnie jednak jest tym bohaterem dziecko. Najczęściej — „piekienny Piotruś”, pięciu lub sześciu letni chłopiec, spryciarz, kawalarz, postrach rodziców i sąsiadów, lecz mimo

wszystko uroczy i sympatyczny. Typowym, a zarazem wielce dowcipnym przedstawicielem humorystów, uprawiających „cykle dziecięce” — jest Gill Fox, współpracownik wielu tygodników, znany ilustrator książek dla dzieci. Stworzona przez niego postać Wilberta zdecydowanie wyróżnia się wśród swoich rysunkowych rówieśników — nieprawdopodobną fantazją i pomysłowością. A przy tym — wbrew pozorom — te żarty o Wilbercie bawią głównie dorosłych czytelników. W przyszłości — przedstawiemy na tym miejscu innego bohatera „cyklicznego” — „Strasznego Dennisa”. (Jert)



— Totusiu, czy ty może masz na sobie kruciaczkę spo- dnia? — A teraz idź do drugiego pokoju i krzyknij głośno: „HEJ, MARILYN MONROE W FELWIZJI!” — Zaraz będziemy na miejscu, gdzie Jimmy złamał rękę i stracił przytomność... (Bez podpisu)

NASZA KRZYŻÓWKA

| | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|--|
| 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | 24 | 25 | 26 | 27 | 28 | |
| | L | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | A | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | A | M | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | A | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | D | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | O | 23 | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |

ZNACZENIE WYRAZÓW: POZIOMO — 1) Nazwa miesiąca, 4) Zawój z tkaniny jako nakrycie głowy, 10) Choroba roślin lub popularny nalot na żelazie, 11) Kwiat ozdobny, 12) Tłuszcz, 15) Muł, 16) Jedna z elektrod, 17) Miękką tkanina, zwykle jedwabna, z krótkim gestym włosiem, 18) Atak, 20) Kwiat, 22) Pajac, bławien, hipokryta, 25) Metal, 26) Eksponat, przedmiot osobliwy, 27) Przyroda, 28) Halas. PIONOWO — 2) Kleks, 3) W starożytnej Sparcie — jeden z pięciu urzędników wybieranych corocznie przez zgromadzenie ludowe; mieli oni nadzór nad sprawami państwa i faktycznie kierowali całącją spraw państwowych, 5) Narządy słuchu, 6) Jedna z dwunastu konstelacji zodiaku, 7) Borówka, 8) Ubiór nurków, 9) Przeróbka formy tekstu literackiego z zachowaniem jego treści, 13) Pisarz brazylijski, 14) Imię męskie, 19) Roślina śródziemnomorska o dużych, gładkich wyciętych liściach; pierwowzór ornamentu np. na głowicy kolumny korynckiej, 21) Rozsuwana zasłona na okno, 23) Miara długości, 24) Wodorost. Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie. Rozwiązanie krzyżówki Poziomo — skalpel, tatarak, tors, poza, Lubań, racja, cynk, Grek, tancerz, rozkazy. Pionowo: kwas, lina, etat, stolica, trabant, koncert, salata, kucyk, karo, gruz. Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali: 1. Józef Nowakowski, Toruń, ul. Rejtana 9. 2. Janusz Derecki, Gdańsk, Wrzeszcz, ul. Sobótki 11-a m. 12.

RECEPTA NA NOWOMODNE KAPELUSZE Damskie

Weź byle jakie duże pudło słomiane, okreć je szpicami lokciami gazy i nastrzęp dwunastoma lokciami atlasowej wstążki dowolnej barwy. Na wierzch połóż wiązkę siana, sześć kilogramów sztucznych kwiatów i dwanaście kilogramów strusię pór. Następnie palnij pięścią z całej siły w to sówie gniazdo, tak aby się wszystko porządnie zgniotło i włóż na głowę z fantazją. Sygnatura — kapelusz paryski najnowszej fasonu.



Z materiałów archiwalnych wybrał: ZDZISŁAW KONICKI

Rówieśnicy — próba zbliżenia

(Dokończenie ze str. 7.) życie współczesnym. Sankcja prokuratorska za gwałt na młodej dziewczynie to jedynie odplata, jedynie zadostuczynienie. Ale sprawę spotkała kara daleko surowsza — poczucie własnej absurdalności w świecie.

Ta sama absurdalność ciąży na młodych z „Egzotyycznej”, „Mariolki”, „Lilliany” i innych lokalnych środowisk. Szeroka dyskusja na łamach „Odgłosów” to już prawie proces wytoczony Młodzieży — proces w zasadzie abstrakcyjny. Społeczeństwo nasze ma niedobry zwyczaj wydawania wyroków przed wyrokiem Sądu. Moi rówieśnicy, moi rówieśnicy z „Egzotyycznej”, „Jubilatki” już ponoszą moralne konsekwencje procesu. Ale wyrok ostateczny nie zapadnie. Poza łamami gazet, poza domami w których moich rówieśników, a przy okazji całą młodzież osadzono, odbywa się inny proces, proces, po którym może się okazać, że wszystkie osady mają już tylko charakter anachronizmu. Będzie to czas, w którym wszyscy młodzi zaangażują się w rzeczywistość. Wierzę, że to nastąpi niezadługo, że pokolenie przyszłe, dla którego „teraz brukiujemy szlaki” nie będzie miało podobnych doświadczeń. że ta dyskusja będzie dla niego tylko historycznym dokumentem.

Dlatego i ja w tej dyskusji wstrzymuję się od ostatecznego wyroku.

KONRAD FREJDLICh

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 24-78 * Warianty prenumeracji: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przysyła wszystkie ośrodkii pocztowa, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” Łódź, Zwirki 19 z. 948. III. 60 r. R-1

Film miesiąca

„ZEZOWATE SZCZĘŚCIE“



Idąc na film Andrzeja Munka „Zezowate szczęście” bałam się trochę rozczarowania. Trudno sobie wyobrazić, jak można w sposób ciekawy, nie nużący sfilmować zyciorysach pechowego urzędniczyny. Czy Kobiela — mimo niewatpliwego talentu — dźwignie ciężar takiej roli?

Cóż, przyznaję, nie doceniałam Munka ani Kobieli. Film jest świetny, ogląda się go z napięciem. Czasem z uśmiechem, czasem z westchnieniem — odnajdując pewne analogie we własnym zyciorysie. Bo choć nasz pech nie jest tak konsekwentny w swych prześladowaniach, to jednak nie omija nikogo. Dlatego postać Piszczyka jest dla nas sympatyczna, mimo wszystko, jak sympatyczny jest człowiek, któremu się w życiu nie powiodło. Gdy jednak ochłoniem z pierwszego wrażenia, zaczynamy się zastanawiać, kim jest właściwie ten Piszczyk?

W minionym okresie o

wiele łatwiej dałby się zaszukadkować: Piszczyk to typowy drobnomieszczyzna — stwierdzilibyśmy — i problemem zostałby odfajkowany. Dziś trzeba sobie zadać trochę trudu aby tę postać odzysfrować.

W każdym bądź razie nie pasuje ona do żadnego ze znanych wzorów literackich. Nie jest to Lejzorek, nie jest to też znana postać czynownika tak świetnie szkicowana przez Czechowa. Piszczykowi brak sprytu Lejzorka i nie jest równie jednoznaczny jak opiewany przez Czechowa carski urzędnik. A jednak są pokrewieństwa. Piszczyk, to mała duszyczka, która zakłada sobie w życiu cele minimalne. Brak mu zupełnie wyobraźni, chce namalować gotowe wzory. A więc w okresie międzywojennym imponuje mu brzydki, w czasie okupacji imponuje mu człowiek, który robi interesy na handelku. Dopiero pod wpływem miłości, Piszczyk — Kobiela doznaje olśnienia,

chce się wyzwolić, odmienić. Wydaje się, że wiele rzeczy zaczyna docierać do jego świadomości. Marzy by zostać bohaterem podziemia. Traci i tę szansę, bo przysłowiowy pech nie opuszcza go ani na chwilę. (Pech ale jest tu jednak czynnikiem irracjonalnym. Obserwując losy Piszczyka widz wierzy, że musiało się stać tak, a nie inaczej, mimo że sytuacje są czasem absurdalne). Dopiero w naszej rzeczywistości Piszczyk odnajduje swe miejsce za biurkiem, gdzie jego zalety — punktualność, dokładność, gorliwość — znajdują pełne uznanie władz

zwierzchnich. Dlatego entuzjazm Piszczyka dla nowej rzeczywistości jest szczerzy, nieklamany. Piszczyk i tym razem jednak nie potrafi zdobyć się na oryginalność. Swoją entuzjazm wyraża posługując się sloganami, to go gubi.

Czy takich Piszczyków spotyka się w życiu? Chyba nie... Natura jest na ogół sprawiedliwa. Jeśli komus poskapi talentów, brak ten wyrównuje sprytem, wrodzoną intuicją. Piszczyk pozbawiony jest i sprytu i talentów. Pozostał dużym dzieckiem w świecie dorosłych. Ale nie jest to postać wyдуманą, bo wielu szarych ludzi odnajdzie w Piszczyku jakiś ułamek swych własnych losów i dlatego można go uznać za postać mimo wszystko typową.

Można by się czepiać, że komentarz, a raczej opowiadanie Piszczyka o samym sobie jest zbyt gładkie, zbyt rozumne, zbyt samokrytyczne, jak na kogoś, kto nie potrafi wyciągać wniosków z własnych doświadczeń. Jest to jednak szukanie dziury w całym, bowiem jako całość film jest ogromnie konsekwentny, skonstruowany logicznie i psychologicznie prawdziwie. Jest to niewątpliwie zasługa dobranej trójki realizatorów, a więc scenarzysty Sławińskiego, reżysera — Munka i Kobieli, kreującego główną rolę. O jego aktorstwie, jak również reżyserii Munka trzeba by jednak pisać oddzielnie.

TERESA ZWIERZCHOWSKA



Kolorowym atramentem

Dokładna lektura prasy codziennej i tygodniowej dała ostatnio czytelnikowi dwie rewelacje. Pierwsza to wstrząsający „Pamiętnik Da widka”, drukowany m. in. w „Twórczości”, „Polityce”, „Przekroju”; druga — projekt realizacji filmowej wspomnianego dokumentu przez reżysera Aleksandra Forda.

Każdego kto choć we fragmentach zna ów pamiętnik żydowskiego chłopca, rewelacja druga co najmniej zaskoczy.

Oczywiście reżyser Ford jest w sprawach filmu człowiekiem jak najbardziej kompetentnym, ale... właśnie owo ale...

Jest — wydaje się — rzeczą artystycznie chybioną i absolutnie niemożliwą przełożenie na język filmowy, język obrazów i sytuacji dokumentu, który wstrząsa przede wszystkim naiwną dziecięcą interpretacją faktów, dokumentu, który wstrząsa właśnie swym specyficznym stylem, językiem, sformułowaniami.

Fakty jakie rejestruje Dawidek Rubinowicz w swym pamiętniku to fakty w gruncie rzeczy znane. O zbrodniach hitlerizmu na

ludności żydowskiej mówią dokumenty z obozów, mówi bogata literatura.

Tak więc ogromna wartość pamiętnika polega przede wszystkim nie na rejestracji faktów mordu i zbrodni, polega na czymś zupełnie innym. Ale są to sprawy leżące głęboko w psychice dziecka włączono — jak mówi Maria Jarrowowska — „w żarna barbarzyństwa”.

Śrób odczuwania przez dziecko rozgrywanej się tragedii, sposób wyrażenia swych odczuć nieporadnym, naiwnym opisem, sformulowaniem — to rzecz nie do przełożenia na język filmowy. Żaden najgenialniejszy nawet reżyser nie powie o czasach pogardy więcej i w sposób bardziej wstrząsający niż zrobił to w swych notatkach 14-letni chłopiec z Bodzentyna.

Dlatego nie widzę większego sensu w przetwarzaniu pamiętnika na film, sztukę czy dzieło literackie. Każda taka adaptacja będzie niczym więcej jak tylko zubożeniem, spycciem tego co napisał Dawid Rubinowicz.

JERZY WILMAŃSKI

„ODETTE S-23“

„Odette S-23” reżysera Herberta Wilcoxa ukazuje perypetie agentów brytyjskiego wywiadu w poturkowanej Francji okupowanej przez Niemców i Włochów. Porusza również problem bardzo obecnie aktualny i nabrzmiały — sprawę odpowiedzialności za zbrodnie dokonane przez osobników w rodzaju Oberlaendera i Speidla.

Bohaterka filmu — Angielka francuskiego pochodzenia — wraz z całą siatką wywiadowczą rozpracowuje obiekty na Rivierze francuskiej. Wreszcie, wraz z innymi wpada w ręce hitlerowskiego kontrwywiadu. Tu właśnie część filmu, dotycząca samej pracy wywiadowczej, jest mało ciekawa. Reżyser filmu nie ustrzegł się tu banalności i łatwizny w budowaniu konfliktów dramatycznych, akcja toczy się jak na film sensacyjny dość ospale.

Ow brak tempa występuje jednak do pewnego momentu. Gehenna Odette od wzięcia do gestapo aż do obozu w Ravensbrück jest tą częścią dzieła Herberta Wil-

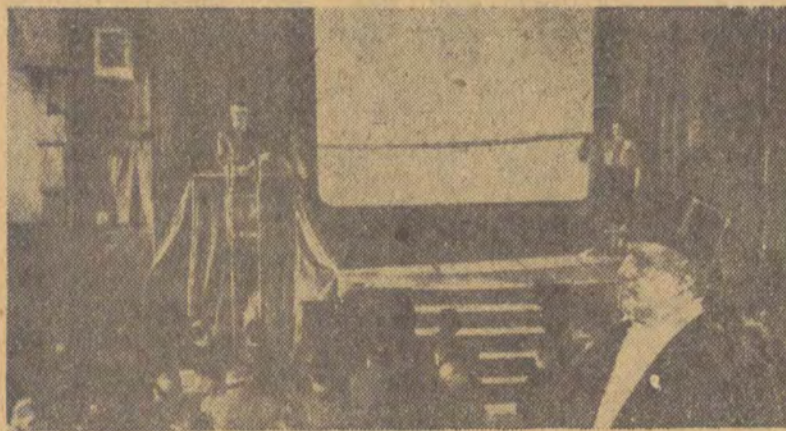
coxa, która najbardziej zainteresuje widzów fabułą i biegłością reżyserii, a co ważniejsze — stanowi poważne oskarżenie „odkrytych” i tych jeszcze niewidocznych luminarzy III Rzeszy, siedzących obecnie spokojnie na przytulnych posadkach. „Wszyscy z was są niewinni, kto jest wobec tego winien zbrodni?” — takie pytanie pada dość często w tym filmie. „Niewinnym” czuje się szef hitlerowskiej Abwehry, posuwając się nawet dalej, deklaruując swą rzekomą antyhitlerowską postawę. „Niewinnymi” zbrodni torturowania i uśmiercania są generalowie SS i służba hitlerowska w obozach koncentracyjnych.

Do ogólnego sukcesu filmu w znacznej mierze przyczyniła się bardzo sugestywna a przy tym oszczędna w środkach kreacja aktorki Anny Neagle w roli tytułowej.

Film „Odette S-23” dedykowano członkom Ruchu Oporu we wszystkich krajach walczących z hitleryzmem i jest dowodem pamięci o ludziach. A. N.

„Młodość i urodę zapewniają najlepiej wiosenne kąpiele pod gołym niebem” — oświadczyła reporterowi „Mieszanki” pewna młoda aktorka, znana z wielu ról filmowych. Udalo nam się też dowiedzieć, że popularna artystka odwiedzi najbliższą kąpiel dnia 1 kwietnia, ok. godziny 18.30 w parku helewnowskim. Tamże o tejże godzinie przedstawiciel Wydziału Reklamy „Filmu Polskiego” będzie rozdawał ochoczym współtowarzyszom kąpeli — fotostylistki z własnoręcznym JEJ autografem.

ILUSTROWANA KRONIKA WIOSENNA



Zgodnie z postulatami „MIESZANKI”, ludzie red. Juliana Brysza z „Dziennika Łódzkiego” — w Łodzi, z dniem 1 kwietnia, otwarte zostaje wreszcie kino „AKTUALNOŚCI”, wyświetlające stale programy filmów krótkometrażowych. Stało się to dzięki dobremu łobocim Okręgowego Zarządu Kin. Na zdjęciu powyżej — uroczystość otwarcia „Aktualności” w sali „Adrii”; na pierwszym planie uroczysty i smutny dyr. Kulesza z OZK, który niemato ochoty wniósł w dzieło.



Dla uczczenia sławy i estymy Basi Kwiatkowskiej, która kręci obecnie w Paryżu film „Tysiączne okno” — pocztą francuską wypuściła specjalny znaczek okolicznościowy. Zwracamy uwagę na małą notkę nad konterfektem Basi: „Stella maxima Anno Domini” — „Największa gwiazda Roku Pańskiego”.



Opinia francuska została ostatnio poruszona nowiną o planowanym rozwodzie Brigitte Bardot ze swym obecnym mężem. Wtajemniczeni kojarzą wiadomość o rozwodzie z faktem, że piękna BB przebywa ostatnio niestannie z naszym najmilszym gwiazdorem Zbigniewem Cybulskim. Niedyskretny fotoreporter uwiecznił powyżej jedno z takich tête-à-tête. Tylko na litość boską — Zbysku — dlaczego masz smutną twarz??